ŻYCIE
· tygodnik społeczny ·
Przemyskie

Nr 31 (39) (Rok II) Środa, 31 lipca 1968 r. Cena 2 zł

W 24 rocznicę wybuchu powstania warszawskiego

Wspomnienia sanitariuszki

Ofensywa radziecka postępująca od wschodu przyniosła wyzwolenie wschodnim terenom Polski. Utworzenie władzy ludowej na obszarach wyzwolonych wywołało sprzeciw obozu londyńskiego. Rząd emigracyjny zażądał od wszystkich sojuszników potwierdzenia uznania go jako jedynej władzy w Polsce, postanowił wywołać w Warszawie powstanie, objąć władzę zanim wkroczy armia radziecka i w ten sposób zmusić rząd radziecki do uznania faktów dokonanych.

Na wiadomość o ukazaniu się pierwszych czołgów radzieckich w pobliżu Warszawy, komenda AK wydała rozkaz rozpoczęcia powstania 1 sierpnia 1944 r. o godz. 17.

Niepozorna, wysoka, szczupła nastolatka w okresie okupacji bardzo często odbywała kursy między Lublinem a Warszawą. Świetnie wykonywała polecenia komendy lubelskiej organizacji „Szarych szeregów", a co najważniejsze nie miała na swoim koncie „wpadek", gdyż wygląd grzecznej dziewczynki w szkolnym mundurku nie wzbudzał podejrzeń u gestapowców rewidujących pasażerów. Wypełniała swą misję znakomicie. Po ostatnim lipcowym przyjeździe do Warszawy zatrzymała się u rodziny na Woli. Tu zastał ją dzień 1 sierpnia 1944 r.

— Siedziałam w mieszkaniu u cioci. Było gorące popołudnie. Nagle usłyszałam strzały, jakiś wzmożony ruch i... cisza. Zaniepokojona wyjrzałam na podwórko. Ktoś mnie ostrzegał, żeby nie wychodzić, bo trwa łapanka. To nie była jednak łapanka. Po chwili na ulicy pojawili się ludzie z powstańczymi opaskami na rękawach. A więc rozpoczęło się powstanie...

Poczułam się osamotniona. Nie znałam dobrze Warszawy, a przecież wiedziałam, że nie pozostanę bezczynną, muszę działać. Postanowiłam niezwłocznie skontaktować się z kuzynem, który pracował w Szpitalu Maltańskim. Wybrałam się tam zaraz następnego dnia z rana. Aby się dostać do szpitalnego budynku musiałam przebiec przez duży plac, będący pod obstrzałem od strony Ogrodu Saskiego. Wtedy na skwerach i zieleńcach rosły ziemniaki. Gdy więc kule zaczęły śmigać mi nad głową, rzuciłam się w owe ziemniaki i w nich przeleżałam aż do zmroku. Dopiero wieczorem udało mi się przemknąć za szpitalną bramę. To był pierwszy mój wyczyn. Od tej pory przesmykiwanie się chyłkiem pod murami przeszło do porządku dziennego. Zostałam zaangażowana do służby sanitarnej. Niesienie pomocy rannym, ewakuacja chorych z miejsc zagrożonych do schronów, zdobywanie leków i opatrunków — oto były moje zadania.

Powstanie wywołało powszechny zryw ludności stolicy przeciw znienawidzonemu okupantowi. Ten charakter walki zbrojnej sprawił, że stanęły do niej wszystkie, działające na terenie Warszawy organizacje, łącznie z Armią Ludową. Nie było różnic przynależnościowych. Wszystkich jednoczył wspólny cel — walka wyzwoleńcza.

Pierwsze dni stanowiły jedno wielkie festum. Nie chciało się jeść, spać, a tylko patrzeć i przeżywać. Odczuwało się podniosły nastrój, ekstazę. Gdzie się tylko dało, zatknięto biało-czerwone flagi. Na ulicach panowała radość. W bramach domów odprawiano nabożeństwa, udzielano ślubów partyzantom... Niemcy zaskoczeni takim niespodziewanym zrywem byli przyczajeni i początkowo stosowali taktykę defensywy. Nie pokazywali się na ulicach inaczej, jak za osłoną czołgów, przed którymi potrafili pędzić tłum kobiet i dzieci, zabezpieczając się w ten sposób przed strzałami powstańców. Oni nie mieli skrupułów...

Po upływie owych ekstatycznych dni zaczęto odczuwać tragizm sytuacji. Niemcy uzbrojeni byli po zęby. Nam brakowało nie tylko broni, ale coraz dotkliwszy stawał się niedostatek leków, środków opatrunkowych, żywności i wody. O wszystko trzeba było walczyć. A Niemcy poczynali sobie coraz odważniej. Lubowali się w zrzucaniu bomb zapalających. A lato było suche tego roku. Słońce grzało niemiłosiernie. Nad miastem unosiły się dymy palonych domów. Ta sceneria: przeraźliwie ostre promienie słoneczne, zasnute dymami miasto i bezlistne, czarne drzewa — była tragiczna.

Pamiętam ewakuowaliśmy rannych do schronu urządzonego w magazynach Haberbuscha na Ceglanej. Znajdowała się tu wytwórnia piwa, a więc i spore zasoby jęczmienia. Pewnego razu Niemcy zrzucili bomby zapalające. Zakopały się one w owo ziarno i nie wybuchły. Wygarnialiśmy je potem grabiami i wyrzucaliśmy gołymi rękami — nie myśląc o niebezpieczeństwie — daleko na ulicę.

Powstanie było dla nas młodych wielką, romantyczną przygodą. Ale to nieprawda, że nikt się nie bał. Baliśmy się, a odwaga płynęła z konieczności, z zawziętości, a czasem była wręcz desperacka, bo ze śmiercią igrało się na każdym kroku. Na przykład z uporem taskałam na szczyt barykady u zbiegu Chłodnej i Waliców dużą bombę. Kiedy Niemcy zaczęli strzelać, właśnie za tą bombą znalazłam znakomitą kryjówkę. Dopiero jacyś dorośli przywołali mnie do porządku.

Wydaje mi się, że najbardziej brawurowych czynów dokonywały dzieci. Tak, dzieci! Przecież to kilkuletni nawet chłopcy rzucali granatami i flaszkami z benzyną na czołgi, na niemieckie stanowiska. To oni byli najlepszymi łącznikami i kolporterami. Dzielnie pełnili również warty...

Oto chudy, mały chłopiec. Za duży chełm spadł mu na oczy. Karabelę miał większą od siebie. Wybrałam się z koleżanką po leki. Absolutnie nie chciał nas przepuścić, odgrażał się, że będzie strzelał. Wytłumaczyliśmy mu, argumentując niezawodnym kłamstwem, że jednak za wszelką cenę musimy iść. Gdy wracaliśmy, mały strażnik już nie żył...

Coraz częściej dokuczał nam głód. Ludzie byli wycieńczeni, a szerzące się choroby, odór z rozkładających się odpadków i śmieci, a ponadto dochodzące coraz częściej wieści o masowych rozstrzeliwaniach — nastrajały minorowo. Ale opór trwał nadal zaciekły...

(Ciąg dalszy na str. ?

NA PÓŁ-METKU 1968 ROKU

(Rozmowa z przew. Prez. MRN Władysławem Deręgowskim)

— Pół roku minęło od naszej rozmowy. Miała ona miejsce tuż po sesji Miejskiej Rady Narodowej, na której zatwierdzono budżet i plan gospodarczy miasta na 1968 rok. Obecnie pragniemy poinformować mieszkańców naszego grodu o realizacji nakreślonych wówczas zadań. Może zaczniemy od inwestycji, mają one bowiem najistotniejszy wpływ na rozwój gospodarczy miasta.

WŁ. DERĘGOWSKI: — Na wstępie przypomnę, że nakłady na inwestycje, bez wydatków na kopalnictwo naftowe i PKP, wynoszą w br. 139 313 tys. złotych i są wyższe od ubiegłorocznych o ponad 27 procent. Za okres 6 miesięcy wykorzystano około 50 mln zł, (tj. 37 proc.). Prawidłowo realizowane były inwestycje wydziału oświaty (budowa szkoły podstawowej i liceum), sądu (budowa zakładu wychowawczego w dzielnicy Lipowica), MHD-Artykułami Spożywczymi (pawilon), Państwowej Komunikacji Samochodowej i kilku innych.

Najważniejszym jednak zadaniem jest rozbudowa Zakładów Płyt Pilśniowych. Nakłady na ten obiekt wynoszą ponad 60 proc. wszystkich inwestycji. Tempo robót jest tu niezadowalające. Złożyły się na to różne przyczyny, niezależne od władz miejskich. Prezydium MRN, w ramach swych możliwości pomaga zakładowi przezwyciężać trudności.

— Są jednak inwestycje, na których przebieg Prezydium MRN ma decydujący wpływ. Mam na myśli budownictwo mieszkaniowe.

WŁ. DERĘGOWSKI: — Tu prace przebiegają zgodnie z planem. Jarosławskie Przedsiębiorstwo Budowlane dobrze wywiązuje się z zadań. Odda ono w br. dwa bloki o 220 izbach z budownictwa rad narodowych i rozpocznie budowę dwóch dalszych. Przed terminem przekazało blok spółdzielni mieszkaniowej, w drugim półroczu rozpocznie budowę kotłowni przy ul. Pstrowskiego. Obiekt ten, o czym już pisało „Życie", ma istotne znaczenie dla dalszej rozbudowy osiedla.

Realizujemy również inwestycje prowadzone w ramach czynów społecznych. Należą do nich: budowa Pomnika Ofiar Faszyzmu, hali sportowej w Szkole Podstawowej nr 3 oraz basenu przy ul. Lelewela. Ogółem ich wartość wynosi 1.574 tys. złotych. Przy budowie pomnika występowały trudności związane z dosyć skomplikowaną kompozycją bryły, budowę basenu zahamował na kilka tygodni brak dokumentacji konstrukcyjnej płyty fundamentowej pod przyszłe przykrycie niecki basenu.

— A jak przebiegają remonty?

WŁ. DERĘGOWSKI: — Nakłady na ten cel wynoszą 33 805 tys. złotych, z czego ponad 27 mln złotych przeznaczy się na cele gospodarki komunalnej i mieszkaniowej. Główną pozycję stanowią remonty kapitalne domów znajdujących się pod zarządem MZBM (35 budynków) i prywatnych (27). Wykonawca: Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane źle się spisuje. Powstały zaległości, nie rozpoczęto robót we wszystkich planowanych do remontu budynkach, wielu nie ukończono w terminie. Na usprawiedliwienie trzeba przyznać, że wykonawca odczuwa brak kwalifikowanych robotników oraz boryka się z trudnościami materiałowymi, chodzi głównie o stal, płyty stropowe, itp. Działalność MPRB była przedmiotem analizy komisji ekonomicznej KMiP PZPR oraz naszego Prezydium. Wydaliśmy szereg zarządzeń, które winny zmobilizować przedsiębiorstwo do realizacji zadań. Zadowalająco natomiast postępują remonty ulic, studni, obiektów służby zdrowia.

Prezydium interesuje się na bieżąco realizacją planu gospodarczego i gdy wyłania się potrzeba interweniuje. Dokładamy starań, by plan był wykonywany prawidłowo pod względem rzeczowym i finansowym.

— Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał

ZB. ZIEMBOLEWSKI

Przemyślanie podróżują

Około 5 000 mieszkańców Przemyśla wyjeżdża w ciągu roku na zagraniczne wojaże. Jedni odwiedzają krewnych za granicą, drudzy podróżują jako turyści. Obecnie, w pełni sezonu, Biuro Paszportów przy Komendzie Miasta MO w Przemyślu wydaje około 50 dokumentów dziennie. Najchętniej mieszkańcy naszego grodu odwiedzają Związek Radziecki, Węgry, Bułgarię i Czechosłowację.

em

Po letniej burzy

Potępiamy brudną wojnę

W związku z przypadającą 14 rocznicą Konferencji Genewskiej, której postanowienia zabraniały m. in. tworzenia obcych baz wojskowych na terytoriach Wietnamu, Laosu i Kambodży — w przemyskich zakładach pracy na akademiach organizowanych z okazji 24 rocznicy PKWN podjęto rezolucje potępiające brudną wojnę w Wietnamie.

Rezolucja załogi ZWAWN im. G. Dymitrowa głosi m. in.: „Domagamy się likwidacji amerykańskich baz wojskowych i wycofania z Wietnamu południowego wszystkich wojsk obcych, walczących z ludnością wietnamską... Z całą surowością potępiamy eskalację wojny chemicznej i bakteriologicznej, niszczącej życie biologiczne... Domagamy się natychmiastowego zaprzestania piracklich bombardowań DRW oraz zaprzestania wszelkich innych aktów gwałtu i przemocy, stosowanych wobec bezbronnej ludności cywilnej. Uważamy, że jedynie ścisłe przestrzeganie i poszanowanie postanowień Konferencji Genewskiej z 1954 r. może doprowadzić do zakończenia wojny w Wietnamie, a tym samym przyczynić się do złagodzenia napiętej sytuacji w tej części świata...

Załogi przemyskich zakładów w pełni solidaryzują się z bohaterskim narodem wietnamskim i jego słuszną walką z amerykańskim najeźdźcą. Życzymy Wam, wietnamcy przyjaciele, szybkiego zwycięstwa i z całego serca pragniemy, abyście mogli spokojnie żyć i pracować, podobnie jak my.

CZUJ, CZUJ, CZUWAJ...!

W malowniczym zakątku nad Zalewem Solińskim, w Polańczyku rozbili swe namioty harcerze z Hufca Ziemi Przemyskiej. Podczas wakacyjnych miesięcy na trzech turnusach uczestniczyć będzie ok. 400 osób. Pierwszy turnus, który trwał od 6—26 lipca zgromadził 110 dziewcząt i chłopców z Przemyśla. Na dwa dni przed jego zakończeniem złożyli harcerzom wizytę: sekretarz KMiP PZPR — **Kazimiera Hodór**, przewodniczący Prezydium PRN — **Adam Chudzikiewicz** oraz komendant hufca — **Zbigniew Majewski**. Poprzednio gościli w obozie wizytatorzy Rady Naczelnej ZHP (którzy notabene uznali obóz w Polańczyku za najlepszy z wizytowanych), chorągwi hufca oraz przedstawiciele władz przemyskich.

Dzień był pochmurny i deszczowy, toteż większość bractwa spędzała czas w namiotach. Poderwani sygnałem syreny alarmowej wylegli na apelowy plac „Kanonierzy", „Perkozy", „Bizony", stawiły się „Antenki", zwinne „Wiewiórki" nieszkodliwe „Żmijki" i „Niebieskie koty", które — o dziwo! — żyją w najlepszej zgodzie z reprezentantami psiego rodu: Sabą i Asem, obozowymi ulubieńcami. O Asie — owczarku alzackim — można napisać osobny poemat. Jego panem jest komendant obozu, phm **Zbigniew Stypułkowski**. Przybywającym do komendantury interesantom, As, siedząc na krześle — podaje łapę. Wiernie uczestniczy we wszystkich uroczystościach na apelowym placu, gdzie ma stałe miejsce pod masztem.

W obozie zakończono już zajęcia świetlicowe. Składały się na nie m. in. poznawanie zasad ruchu drogowego, wieczory pytań i odpowiedzi, spotkania z przedstawicielami władz. Jedynym mankamentem obozowego życia był brak chętnych do zdobywania sprawności.

Wszyscy byli pod wrażeniem „festiwalu", który odbył się poprzedniego wieczoru. Zorganizowano go z okazji sofijskiego festiwalu młodzieży świata. Każdy zastęp przebrany w stroje reprezentowanego narodu przedstawiał tańce i scenki obyczajowe np. plemion murzyńskich, indiańskich, narodów arabskich. Wesoły, rozśpiewany pochód zawędrował z leśnego buszu pomiędzy opłotki Polańczyka, wzbudzając żywe zainteresowanie tamtejszych mieszkańców. Stare babcie trwożliwym szeptem pytały komendanta, wskazując na świetnie ucharakteryzowane Murzynki, skąd one się tutaj wzięły... Modlono się wprawdzie do Allacha o pogodę, chyba jednak nieudolnie, bo deszcz usiłował popsuć zabawę. A w nocy nastąpiła kolejna atrakcja — marsz i przyrzeczenie przy ognisku. Nie spali do drugiej nad ranem, ale co przeżyli, to ich...

Dziś, siedząc w świetlicowym namiocie słuchają wspomnień snutych przez tow. K. Hodór na temat, jak to drzewiej w organizacji młodzieżowej ZMP w związku z XX rocznicą jej powstania — przyp. aut.) bywało; jak to młodzi aktywiści werbowali chłopów do spółdzielni produkcyjnych, przekonywali do wprowadzania nowych upraw i nowych metod gospodarowania jak sami częstokroć służyli radą i świecili przykładem; słowem — dzielnie pomagali partii i władzy ludowej. W rytm wspomnień wpadł również tow. A. Chudzikiewicz. Plastycznie opowiadał harcerzom o sytuacji w Bieszczadach w kilka lat po wojnie, gdyż walki tutaj trwały długo jeszcze po 9 maja 1945 r. Mówił o wyjazdach zakładowych ekip artystycznych z programem rozrywkowym na wieś. Tłumaczył także zagadnienia dotyczące współczesnej gospodarki narodowej i wzrostu stopy życiowej społeczeństwa.

— Co harcerz je?

— Wszystko, co mu dadzą w obozowej stołówce, lecz także:

— Harcerz to jest takie zwierzę, co z uśmiechem wszystko bierze... jak mówią słowa piosenki Harcerze to niezwykle rozśpiewany naród. Gdy już minęła trema, popłynęła żartobliwa piosenka o obozowym życiu i kadrze wychowawczo - szkoleniowej. Dostało się wszystkim bez wyjątku, z komendantem,, czyli „dziadkiem Zbyszkiem" na czele. Dowiedzieliśmy się, że instruktorzy są bardzo surowi, a ratownicy niby pozwalają się kąpać, lecz na maszcie umieścili czarną flagę itp. itd.

Szykowano sobie na nich zemstę na „zielony dzień", kiedy to rządy w obozie przechodzą w ręce harcerzy, zaś kadra pełni warty i dyżury w kuchni. Tym razem od szarych obowiązków nie wymigał się podobno (dotychczas uprzywilejowany i zwalniany z wykonywania czarnej roboty) nawet komendant... Niemniej jednak: „Obóz w Polańczyku, to obóz morowy... — i jak zgodnym chórem stwierdzają przemyscy harcerze — ... mimo wszystko dobrze się czujemy i pozostać razem jak najdłużej chcemy". Niestety, musieli opuścić zielone wzgórza nad Soliną, bo na ich miejsce przybyła kolejna grupa harcerzy. Tym razem są to ich koledzy z drużyn wiejskich, którzy w liczbie 160 przybyli na 10-dniowy obóz. To i tak bardzo duże osiągnięcie! Cztery lata temu zgłoszenia z terenu należały do sporadycznych wypadków. A na obozie napraw dę bardzo miło płynie czas. To jest niezła szkoła życia i usamodzielniania się młodego człowieka. Harcerze nie tylko się bawią. Starają się być również użyteczni dla okolicznej ludności. Np. pierwszy turnus pomagał przy żniwach oraz pracował przy poprawie powierzchni drogi w Polańczyku. Do niezapomnianych wspomnień należy uczestniczenie w uroczystościach otwarcia zapory wodnej nad bieszczadzkim morzem.

Gdy się wybierał znad zalewu długo po górach, lasach i woda echo niosło pożegnalne — czuj, czuj, czuwaj! również w wersii przemyskiej: cip, cip-tajoj..!

AL-BO

Meldunek o podjętym czynie

Z poszczególnych gromad powiatu przemyskiego napływają zgłoszenia udziału w konkusie „Czyny 25-lecia PRL". W prawie wszystkich wioskach odbyły się zebrania, na których analizowano potrzeby danej miejscowości i podejmowano liczne zobowiązania, powołując jednocześnie komisje d/s czynów społecznych.

Dysponując danymi z 20 gromad, które przystąpiły do konkursu i przyjmując za podstawę klasyfikacji wartość finansową podjemowanych czynów, można ustalić następującą kolejność:

1. Gromada Orły — wartość czynu ponad 9 mln zł, 2. Żurawica — ok. 9 mln zł, 3. Trójczyce — ok. 5 mln zł, 4. Maćkowice — ponad 4 mln zł, 5. Stubno — ok. 4 mln zł, 6. Kalników — ponad 3 mln zł, 7. Medyka — ponad 3 mln zł, 8. Orzechowce — ok. 3 mln zł, 9. Pikulice — ponad 2 mln zł, 10. Bircza — ponad 2 mln zł. 11. Bachórzec — ponad 1,5 mln zł, 12. Sufczyna — ponad 1,5 mln zł, 13. Leszczawa Dolna — ponad 1,5 mln zł, 14. Babice — ponad 1,5 mln zł, 15. Krasiczyn — ponad 1 mln zł, 16. Nienadowa — ponad 500 tys. zł, 17. Żohatyn — ponad 500 tys. zł, 18. Nowosiółki Dyd. — ponad 300 tys. zł, 19. Rybotycze — ponad 200 tys. zł, 20. Fredropol — ponad 200 tys. zł.

Wspomnienia sanitariuszki

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Denerwowały nas, rozpoczynające się od akordów chorału „Z dymem pożarów", nadawane przez Londyn audycje dla walczącej Warszawy. Dlaczego nie zagrali nam wtedy „Warszawianki"? W tych audycjach zaszyfrowane były zrzuty. O nie też trzeba było walczyć, bo często dostawały się w niepożądane ręce. Nie należały do rzadkości nocne wyprawy po żywność...

Pod wieczór ucichły strzały. Znużone były obie walczące strony. Zapanowało zawieszenie broni. Pod osłoną nocy, dwóch kolegów wybrało się ...na łowy. Niemcy — wydawało się — spali. Kiedy jednak weszli na ich teren, ktoś zapytał o hasło. I oto wówczas jeden z naszych owinął się prześcieradło i jęcząc zaczął iść w kierunku Niemca. Głos umilkł. Zapanowała cisza. Bez przeszkód — jakkolwiek dusze mieli na ramieniu — dobrali się do piwnic, skąd przynieśli świece, cukier, konserwy i inne wiktuały, trasportując to wszystko w... prześcieradle.

Najdłużej hitlerowcy bronili się w „Paście". Siedziba agencji telegraficznej należała bowiem do najwyższych budynków w stolicy, a więc pole obserwacyjne było rozległe. Niemcy, uzbrojeni po zęby, zabili wielu naszych, zamin wreszcie dobraliśmy się im do skóry. Wtedy walka trwała o każde półpiętro. Wzięto wówczas do niewoli kilkudziesięciu Niemców. PASTA poddała się...

Po 63 dniach bohaterskiej walki szczupłych oddziałów zbrojnych i ludności cywilnej, 2 października został podpisany akt kapitulacji. Powstanie upadło po całkowitym wyczerpaniu możliwości dalszego oporu. Straty wynosiły około 200 tys. osób. Miasto zostało zamienione w pustynię ruin i zgliszcz. Milion mieszkańców straciło całe swoje mienie. Rozpoczęła się masowa ewakuacja. Część ludności wywieziono do niemieckich obozów, resztę umieszczono na terenie GG.

* * *

— Przetrwałam cały okres powstania. Po jego upadku znalazłam się w transporcie ewakuacyjnym. Droga wiodła na Zachód. Jechaliśmy pod niemieckim nadzorem, w niezmiernie zatłoczonych bydlęcych wagonach (na szczęście bez dachów), chyba ponad dwie doby bez przerwy, na mdlejących nogach (jeśli ktoś zemdlał, to na stojąco,) bez jedzenia i bez picia. Okoliczna ludność, narażając swe życie rzucała do wagonów pomidory, warzywa, owoce. Ruch oporu jednak działał. Gdy wjechaliśmy w lasy w Końskiem nasz pociąg nagle zahamował, zgasło światło — zaczęliśmy uciekać w leśną gęstwinę. Nie wiem ilu nas wtedy uciekło. Przy upadku na nasyp straciłam przytomność, a kiedy się ocknęłam, wokół mnie nie było już nikogo. Poszłam i ja w las. Wkrótce znalazłam się wśród partyzantów... kończy wycinek swoich okupacyjnych wspomnień p. Danuta Zarzycka, lekarz pediatra Szpitala Miejskiego w Przemyślu. Kiedy opowiadam o tamtych dniach moim córkom, zazdroszczą mi ...owej przygody. Mityguję je wtedy i powtarzam życzenie, aby nigdy nie powtórzyły się okrucieństwa wojny.

ALICJA BOGUSŁAWSKA

5 lat więzienia za włamanie do „Adama"

Nie długo cieszył się Herbert Lewandowski (ur. w 1944 roku) wolnością. W kilka dni po opuszczeniu Ośrodka Pracy Wychowaczej w Medyce postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia i w nocy z 2 na 3 stycznia br. włamał się do sklepu z artykułami odzieżowymi „Adam" przy ul. Kazimierzowskiej, skąd zabrał kilka ubrań, kilkanaście koszul stylonowych, parasolki składane oraz inne przedmioty na łączną wartość 34.357 złotych.

Dwa razy obracał złodziej ze skradzionym mieniem państwowym. Pierwszą część łupu ukrył w jednej z bram przy ul. Kazimierzowskiej, drugą aż w dzielnicy Przekopana. Dwie walizy z ubraniami milicja znalazła jeszcze tej samej nocy, natomiast pozostałe przedmioty Lewandowski sprzedał na bazarze w Warszawie. Ujęty przyznał się do winy.

Sąd Powiatowy w Przemyślu skazał go na 5 lat więzienia i 5.000 złotych grzywny, a w przypadku nieuiszczenia tej kwoty na dodatkowe 100 dni więzienia.

(z)

Z notatnika reportera

Z ŻYCIA ZMW

Między kołem ZMW w Olszanach a tamtejszą GRN zawiązała się dobra współpraca. W zebraniach młodzieży uczestniczy stale sekretarz GRN — Antonina Markiewicz, służąc dobrą radą i pomocą. Członkowie koła natomiast rewanżują się czynami społecznymi na rzecz swojej gromady. Ostatnio przesłali nam meldunek: — „Z okazji V Zjazdu Partii i dla udokumentowania poparcia jej polityki przepracowaliśmy 17 dniówek przy budowie drogi. Podczas wykonywania czynu wyróżnili się kol. Zbigniew Borsuk, Eugeniusz Kaczmarek, Józef Kaczmarek, Jan Mazurkiewicz, Józef Borsuk, Stanisław Hodoroski".

A więc mamy o jeszcze jeden czyn młodzieżowy więcej.

jo

ABY KOSSAK POZOSTAŁ W PRZEMYŚLU

Akcja zbiórki funduszy na zakup panoramy Wojciecha Kossaka trwa. Podajemy kolejną listę ofiarodawców: Związek Hodowców Zwierząt Futerkowych i Gołębi w Przemyślu — 1000 zł, Zakłady Wytwórcze Elementów Automatyki Przemysłowej „Polna" — 1000 zł, dr medycyny Józef Kędzierski — 100 zł.

Przypominamy numer konta, na które dokonywać należy wpłat: PKO — Oddział Przemyśl — 29-9-96 (Społeczny Komitet Zakupu Dzieł Sztuki.

AUTOBUS DO WYSZATYC

Mieszkańcy Wyszatyc są zadowoleni. Napracowali się przez dwa lata solidnie przy budowie drogi, lecz za to od pierwszego lipca mają stałe połączenie z Przemyślem. Trasę Przemyśl — Wyszatyce przez Bolestraszyce obsługują wozy Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego.

IMIENINY

W bieżącym tygodniu imieniny obchodzą:

31 — Ignacy, Lubomir, 1 — Piotr, Justyn, 2 — Gustaw, 3 — Nikodem, Lidia, 4 — Dominik, 5 — Maria, 6 — Jakub, Sława.

J u s t y n — łac. justus — sprawiedliwy.

I g n a c y — grec. ignatios — syn.

Wszystkim miłym solenizantkom i solenizantom składamy serdeczne życzenia.

ROCZNICE

31 lipca 1853 r. — zapłonęła pierwsza lampa naftowa skonstruowana przez Polaka — Ignacego Łukasiewicza. 1 VIII 1914 r. — wybuch I wojny światowej.(W 1944 r. — wybuch powstania warszawskiego. W 1962 r. — zmarł pisarz Leon Kruczkowski. 2 VIII 1926 r. — zmarł poeta Jan Kasprowicz. 2 —11 VIII 1944 r. — walki AL na placu Zamkowym w Warszawie. 3 VIII 1748 r. — w Warszawie otwarto pierwszą polską bibliotekę publiczną. W 1773 r. — zmarł ks. Stanisław Konarski, Postępowy działacz polityczny i oświatowy. 4 VIII 1310 r. — Krzyżacy dokonali rzezi ludności polskiej w Gdańsku. W 1875 roku — zmarł Jan Chrystian Andersen, bajkopisarz duński. 5 VIII 1772 r. — pierwszy rozbiór Polski. W 1864 r. — na stokach cytadeli warszawskiej stracony został Romuald Traugutt, ostatni dyktator powstania styczniowego. W 1895 r. — zmarł Fryderyk Engels. 6 VIII 1942 r. — zamordowany został przez hitlerowców, wraz ze swymi wychowankami, Janusz Korczak, pisarz i pedagog, przyjaciel dzieci i młodzieży. W sierpniu 1945 roku — Amerykanie zrzucili bombę atomową na Hiroszimę.

Hochsztaplerka

Ja Stanisława Niemiec oświadczam co następuje:

Ewę Ketter poznałam przypadkowo w korytarzu sądu powiatowego. Byłam przygnębiona przegraną sprawą o alimenty. Ofiarowała mi pomoc. Mówiła o swych ogromnych znajomościach i możliwościach, dała mi do zrozumienia, że pracuje w sądownictwie. Zaufałam jej. Za pomyślne przeprowadzenie sprawy zażądała 5 000 złotych. Takiej sumy nie miałam, zadowoliła się więc dostarczanym jej przez dłuższy czas masłem, śmietaną, drobiem i drobnymi kwotami. Kiedy zorientowałam się, że Ewa Ketter oszukuje, udałam się do jej mieszkania. Zastałam matkę, która akurat ustawiała nakrycia na stole. Oświadczyła mi, że u jej córki będą na kolacji sędziowie i prokuratorzy, a przy okazji omowi się moją sprawę. Uwierzyłam...

Ja Józefa Durbajło zeznaję:

Ewa Ketter przedstawiła mi się jako sędzina. Było to po rozprawie, w wyniku której przegrałam powództwo o alimenty. Badania grupy krwi wykluczyły ojcostwo mężczyzny, od którego chciałam uzyskać świadczenia. Ewa Ketter użaliła się nad mym losem i obiecała pomoc. Od ludzi dowiedziałam się, że ona wiele może zdziałać, toteż jej zaufałam. Na konto załatwienia sprawy dawałam jej kilkakrotnie różne kwoty...

Zmieniają się świadkowie. Jest ich wielu. Wszyscy jak jeden oskarżają Ewę Ketter o wyłudzanie pieniędzy i obietnice załatwienia różnych, często nieczystych spraw. Jednym obiecała załatwić korzystny wynik sprawy o alimenty, drugim — szybki rozwód, innym znowu przedterminowe zwolnienie bliskiej osoby z więzienia. Pośredniczyła w tranzakcjach kupna i sprzedaży, obiecywała anulować prowomocne umowy itp., itp. Lista grzechów — długa, toteż sprawa przed Sądem Powiatowym w Przemyślu ciągnęła się przez kilka dni.

Historia Ewy Ketter, hochsztaplerki z Jarosławia działającej w zasięgu trzech powiatów: jarosławskiego, przeworskiego i przemyskiego, zaczęła się całkiem niespodziewanie. W 1949 roku, kilkunastoletnia wówczas Ewa Ketter przerwała naukę (w IX klasie). Znudziło jej się chodzenie do szkoły. Przez następne kilka lat nie uczyła się ani nie pracowała, była na utrzymaniu matki, której głównym zajęciem było wróżenie z kart. Jarosławska hiromantka miała powodzenie; dowiedzieć się — co mówią karty, przychodzili do niej ludzie z różnych środowisk. W 1954 roku Ewa Ketter urodziła syna, a jednemu ze swych licznych znajomych wytoczyła sprawę o ojcostwo. Proces ciągnął się długo. Ketter przegrała, lecz przy okazji zapoznała się z procedurą sądową. Pewnego dnia w jej głowie zrodził się projekt: a gdyby tak wykorzystać zdobyte doświadczenie! Na okazję nie czekała długo. Pomogła jej w tym matka. Klientce, której karta mówiła o kłopotach sądowych (a miała je rzeczywiście), poradziła: Zwróć się pani do mojej córki, ona pracuje w prokuraturze, dużo może pomóc!

I tak się zaczęło. Początkowo Ewa Ketter pisała swym klientom pisma do adwokatów i sądu, z biegiem jednak czasu jej metody „pracy" udoskonaliły się. Interes prosperował dobrze. Zmieniła mieszkanie, kupiła piękne, nowe meble, zainstalowała telefon. No cóż — taki aparacik, w mniemaniu prostych i naiwnych ludzi może posiadać tylko ktoś wpływowy — człowiek, który się liczy. Aby upewnić interesanta (najczęściej kobietę) w przekonaniu o swych wpływach, nakręcała numer (może nawet zegarynkę) i prowadziła rozmowę, nazywając swego rozmówcę raz panem sędzią, drugi raz prokuratorem, trzeci raz poufale Tadkiem lub Wojtkiem. Sceneria i tupet robiły swoje. Sława wszystko — mogącej Ewy Ketter rosła. Kierowano do niej ludzi jak do lekarza — specjalisty.

— Powiedzieli mnie o niej — mówi matka Jerzego Kronia — przypadkowi ludzie na ulicy. Udałam się pod wskazany adres, rozmawiałam z panią „sędziną" i prosiłam o uchylenie aresztu śledczego w stosunku do syna. Obiecała to załatwić i na to konto pobrała 6 000 złotych.

Przy takich „honorariach" (a były również wyższe) można było kupować meble, żyć ponad stan, zafundować sobie telefon.

Jan Kowalski — kierowca z zawodu, zatrzymany został przez funkcjonariuszy MO w Dubiecku, w czasie nielegalnego wożenia żwiru na prywatne budowy państwowym środkiem transportu. Poszedł siedzieć, a żona, by go wyciągnąć z aresztu dała „wszystkomogącej" 7 000 złotych.

Oszustce tupetu nie brakowało, a naiwni wprost się pchali. To samo rzec można o jej matce. Kiedy córka znalazła się już za kratami, wróżbitka nowym interesentom oświadczała: — Córka jest na kursie sędziowskim w Warszawie, chwilowo nic nie załatwia.

Hochsztapler w spódnicy nie obce były również inne dziedziny przestępczości. Pewnego razu zwróciła się do niej o pomoc Janina Maliszewska. Otrzymała ona z Biura Paszportów odmowną odpowiedź na starania o wyjazd do USA. Ewa Ketter poczuła dobry interes, tym razem dolarowy, i zaczęła działać. Do Maliszewskiej i do siebie samej wysłała jednobrzmiący anonim, w którym oskarżała rodzinę Maliszewskich o wrogi stosunek do Polski Ludowej. Kiedy zaniepokojona Maliszewska zgłosiła się do niej z owym listem, Ketter oświadczyła: — Ten list wysłany do pani i do milicji jest przyczyną odmowy. Proszę dać mnie zaliczkę, a ja postaram się anonim wydostać z komendy MO i wówczas sprawa paszportu pójdzie, jak z płatka. Usidlona Maliszewska płaciła nie podejrzewając w czyje wpadła ręce.

W 1967 roku do Jarosławia przyjechała z Francji Janina Dereń celem odwiedzenia swej krewnej Katarzyny Kazimierek. Jakież było jej zdziwienie, gdy dowiedziała się, że pod adresem, na który wysyłała paczki i pieniądze mieszka Ewa Ketter, a jej kuzynka od przeszłego roku nie żyje. Oszustka podszyła się pod nazwisko zmarłej i na jej konto wyłudzała różne dary. Każdy list zawierał opisy nędzy, w jakiej się znajduje (wówczas już nie żyjąca) Katarzyna Kazimierek. Listy te Julia Dereń przesłała do Polski.

Ewa Ketter potrafiła być również mściwa. Nauczyciela Józefa Z. oskarżyła w anonimie do prokuratury o fabrykowanie świadectw dla ludzi, którzy nie ukończli 7 klas. Kto

(Ciąg dalszy na str. 8)

UWAGA-CZŁOWIEK

Marksistowska idea społeczeństwa komunistycznego zakłada, że będzie to społeczeństwo bezklasowe, w którym nie będzie wyzysku człowieka przez człowieka. Socjalistyczny humanizm określa, że najwyższym dobrem, celem samym w sobie jest człowiek i jego potrzeby. Potrzeby w zakresie dóbr materialnych i kulturalnych będą zaspokajane przez dobra wytworzone przez ludzi dla swych potrzeb. Jeśli więc pragniemy dobrobytu, a któż by go nie pragnął, to jedyną drogą realizacji dobrobytu jest wytwarzanie takiej ilości dóbr, by było ich pod dostatkiem. Przy sprawiedliwym podziale każdy otrzyma według swej pracy. Obfitość dóbr może zapewnić wysoka wydajność pracy. Tę zaś możemy osiągnąć poprzez stosowanie coraz to bardziej wydajnych maszyn i urządzeń, coraz bardziej nowoczesnych i intensywnych technologii, poprzez poprawę organizacji pracy, wzrost kwalifikacji zawodowych jak również umiejętne kierowanie jednostkami gospodarczymi i zespołami ludzkimi.

Społeczeństwo posiada określoną organizację, w ramach której występuje specjalizacja do wykonywania określonych prac. Każdy wykonuje tę pracę, do której posiada najlepsze przygotowanie zawodowe, uzdolnienia i zamiłowania. W ramach tej specjalizacji jedni znajdują się na stanowiskach kierowniczych, inni na stanowiskach wykonawczych. Praca jednych i drugich jest niezbędna. Ale ludzie, którym przypadło kierować pracą innych, muszą posiadać pewne cechy osobiste, które zapewnią im autorytet i możliwość kierowania.

POTRZEBNA WSZECHSTRONNA WIEDZA

Do kierowania zespołem ludzkim nie wystarcza dziś tylko wiedza zawodowa. Powstaje potrzeba posiadania obok niej również wiedzy ogólnej o świecie, człowieku, społeczeństwie, zagadnieniach światopoglądowych, ekonomicznych, politycznych. Potrzebna wiedza z zakresu pedagogiki, psychologii i socjologii pracy. Ten zespół różnorakich dziedzin wiedzy jest niezbędny do prawidłowego kierowania innymi ludźmi, dla zdobycia autorytetu osobistego, dla prawidłowego kształtowania stosunków międzyludzkich. Zakłada się, że kierownik na każdym szczeblu zarządzania ma przede wszystkim dwa zadania: organizować pracę, tj. zapewnić środki i warunki do niej. Ma stwarzać klimat pracy, a więc jest to zadanie programowe, a nie zjawisko, które ma się jawić żywiołowo. Nie pomogą nam najlepsze regulaminy i instrukcje, jeśli załoga nie będzie zainteresowana, będzie skłócona, jeśli nie będziemy łagodzili konfliktów i antagonizmów. Często konflikty doprowadzają do stanu, w którym ludzie przestają myśleć o pracy, myślą jakby szukać argumentów na swego przeciwnika, by go zniszczyć. Utrzymuje się przy tym bardzo napięty stan nerwowy, który doprowadza nierzadko do utraty zdrowia. Jak silnik pracujący na najwyższych obrotach nie wytrzyma długo, tak ludzkie nerwy utrzymywane w ustawicznym napięciu doprowadzić mogą do katastrofy. Przeprowadzone przez KM PZPR w Przemyślu badania ankietowe w handlu, spółdzielczości pracy, służbie zdrowia, transporcie wykazują, że ludzie mają wiele uwag i pretensji do kierownictw, które zniechęcają do pracy. Dlatego też organizacje partyjne, aktyw kierowniczy winni systematycznie czuwać nad prawidłowym kształtowaniem się stosunków między ludźmi.

CZEGO PRAGNIEMY

Człowiek zazwyczaj pragnie więcej niż tylko zabezpieczyć warunki swoje i swojej rodziny. Pragnie poczucia pewności i bezpieczeństwa, ciągłości pracy, przynależności do kolektywu, miłości, uznania społecznego, zaspokojenia swych ambicji i poczucia, że się nie jest skrzywdzonym, awansu zawodowego i społecznego. Człowiek, którego ambicje nie są spełnione, który uważa, że jest skrzywdzony, że nie ma uznania za swą pracę, wpada często w depresję, staje się zły, opryskliwy, niezadowolony ze wszystkiego, a więc nosi w sobie potencjał do rozróby i waśni.

BODŹCE NIE TYLKO MATERIALNE

Wynikające z potrzeb dobre motywy działania człowieka mogą być pobudzane przez odpowiednie bodźce, wśród których możemy wyróżnić bodźce materialne, a więc kierowane na zaspokojenie potrzeb pracownika o charakterze materialnym oraz bodźce niematerialne tj. takie, które mają zaspokoić potrzeby wyższego rzędu. Bodźce materialne stanowią bardzo silny motyw działania. Są one jednak ze względu na ilość środków ograniczone. Błędem byłoby jednak mniemać, że tylko one mogą być skuteczne. Obok nich stosowane muszą być równoległe bodźce pozamaterialne. Kierownik, który pragnie osiągnąć optymalne efekty pracy swych pracowników nie zapewniając im równocześnie ekwiwalentu w postaci satysfakcji, jaką daje pochwała, pokazanie zaufania, wiara w możliwości twórcze itd., poważnie się zawiedzie. Należy pamiętać, że na płaszczyźnie „kierownik — pracownik' występuje stosunek wzajemnego świadczenia i jeśli któraś ze stron tylko bierze, a nic w zamian nie daje, doprowadzi to w końcu do wyczerpania źródła i osłabienia potencjału wykonawczego.

POTRZEBA UZNANIA

Człowiek pracując stara się zaspokoić nie tylko potrzeby biologiczne. Pragnie również aby praca zapewniła mu odpowiednie miejsce w społeczeństwie, co może być zrealizowane poprzez zdobycie władzy, sławy czy też uznania jego możliwości i wyników pracy. Te ludzkie ambicje stanowiące motywy działania należy oceniać dodatnio i potrzymywać. Znaną prawdą jest, że brak ambicji zalicza się do cech ujemnych. Człowiek chętnie pracuje w zespole zgranym, rozumiejącym się, przyjaznym. Ten dobry klimat nie tworzy się sam, tworzą go ludzie. Jeśli będziemy na naradach, odprawach i na co dzień wskazywali, jakie normy współżycia muszą obowiązywać w przedsiębiorstwie socjalistycznym, kiedy będziemy uzasadniali życzliwość, grzeczność, wzajemny szacunek, pomoc koleżeńską, a zwalczali nieustępliwość, małostkowość intryganctwo, plotkarstwo, nieróbstwo, jeśli przy tym damy osobisty przykład — wytworzy się zgodny, zgrany kolektyw. Osobisty przykład jest tu niezbędny. W naturze każdego leży pragnienie, by kierował nim człowiek posiadający cechy i wartości ogólnie społecznie uznane. Nie jest więc obojętne, czy kierownik jest zrównoważony, sprawiedliwy, wyrozumiały, dyskretny, niezarozumiały, czy ma poczucie humoru. Kierownik, który pracy swej nie lubi, stale na nią narzeka, widzi w niej tylko strony ujemne, braki i ciężary, nie potrafi porwać innych do pracy.

POZNAWAĆ PSYCHIKĘ I POTRZEBY

Nie możemy sobie wyobrazić poprawy stylu pracy i podniesienia wydajności bez świadomego wnikania przez kierowników politycznych i administracyjnych w problemy psychiczne. Wysiłki te powinny zmierzać w dwóch kierunkach: po pierwsze — poprzez poznanie motywów działania pracowników należy dążyć do jak najpełniejszej humanizacji pracy i nadania jej treści społecznej polegającej na osiągnięciu przez pracownika z a d o w o l e n i a z pracy. Po drugie — osiąganie zwiększonej wydajności powinno odbywać się nie tylko drogą zwiększonego wysiłku robotnika, ale przede wszystkim poprzez usprawnienie organizacji — od pracy własnej poczynając, poprzez stanowisko pracy, wydział, na całym przedsiębiorstwie kończąc. Jeśli chcemy dobrze realizować uchwały naszej partii, musimy na co dzień zajmować się problematyką człowieka i jego potrzeb.

FRANCISZEK KARP

Sportowe emocje

„Stadion" informował już mieszkańców naszego miasta o sportowych emocjach i wynikach rozgrywek, jakie miały miejsce w Przemyślu w ubiegłym tygodniu pomiędzy drużynami „Spartak" — Snina (CSRS) „Garbarnia" Kraków, „Rozwój" Katowice i reprezentacją Przemyśla. Nam pozostaje pogratulować zwycięstwa przemyślanom i przedstawić drużyny gości.

Fot. JW

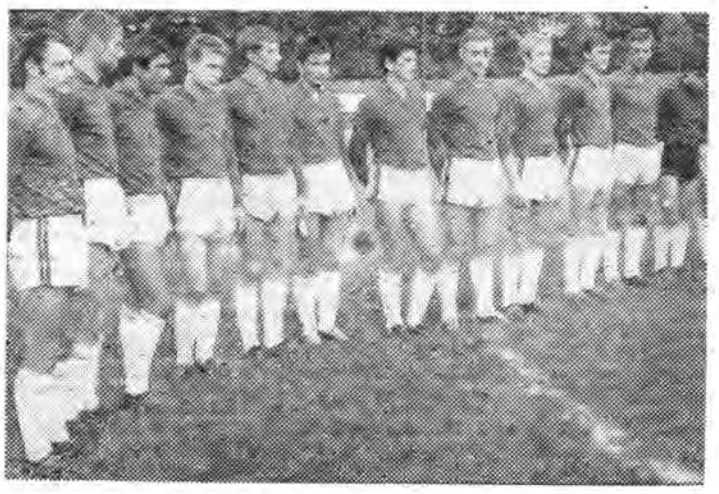

Drużyna „Spartaka"

Foto: Wójtowicz

ROMAN LIS

TADKOWI PIEKLE

Nie zapomnę tej nocy Śliskie ryby godzin
przez twarze uchodzące z słowem
za widzenie

Bach kościół nam otworzył
w kościele kobietę
w jej biodrze było drewno
w drewnie była lalka

Sięgnij szepnąłem dłonią gałąź snu mi nachyl
zobacz
masz piętno cienia na pustyni czoła

Noc miała czarne dłonie
krzyk do gardła wracał

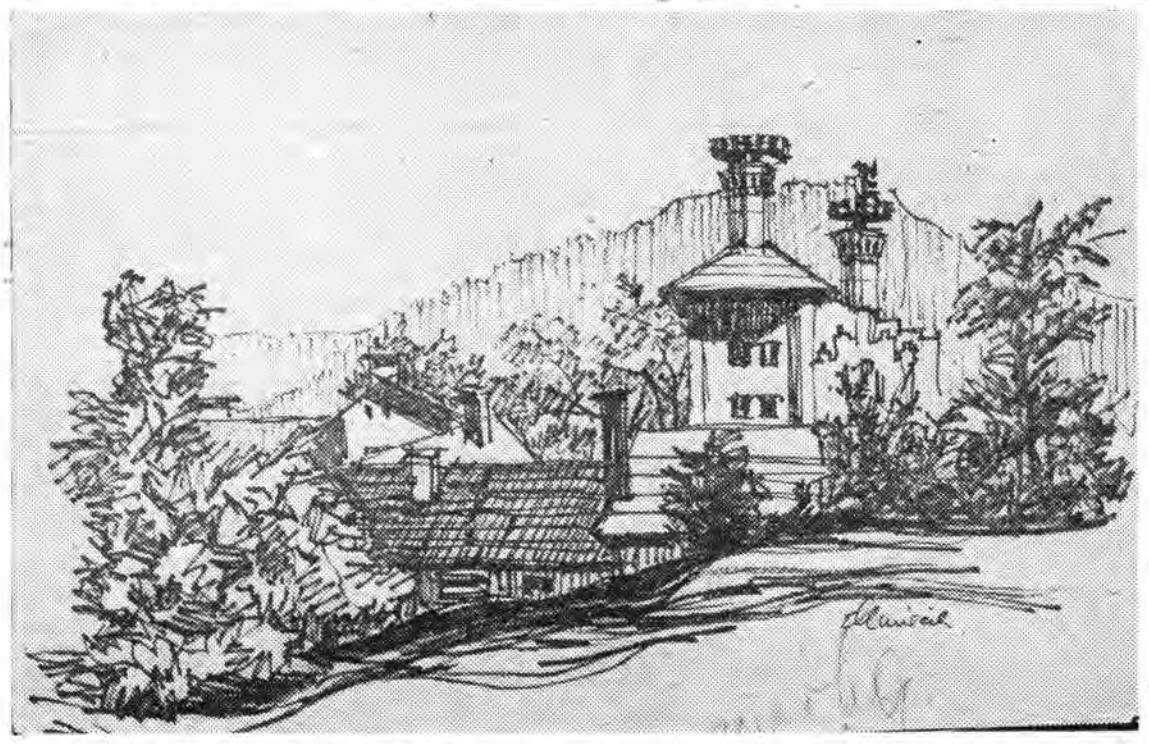

STARY BROWAR W KRASICZYNIE *RYS. E. KMIECIK*

Jak to w c.k. gimnazjum bywało (II)

JASKIER -po grecku

Każdego dnia dyrcio znajdował czas, by zajść do którejś klasy i przysłuchiwać się prowadzonej lekcji. Siadywał zazwyczaj w takich razach w ostatniej ławce, otwierał swój nieodłączny notes i z ołówkiem w drugiej ręce przytomnie czekał. Nauczyciel wykładał tymczasem albo przepytywał klasę. Chiniu patrzył i od czasu do czasu zapisywał sobie coś w grubym notesie, mrucząc pod nosem jakieś niezrozumiałe wyrazy. Pamiętam, że nieraz w czasie sprawdzania naszych umiejętności z przerobionego materiału, dyrcio sam od czasu do czasu, rzucał uczniowi jakieś pytanie. A ten bywało, zagadnięty z dwóch stron, po prostu jak się mówi: baraniał... Dyrcio w takich razach zwracał się lojalnie do całej klasy: — Nu, kto wi?... Nikt nierzadko nie umiał odpowiedzieć na postawione pytanie. Zniecierpliwiony dyrektor Piątkiewicz wołał wtedy do prowadzącego lekcję: — Nu, pan profesor pomoże!...

Razu jednego w piątej klasie, na lekcji botaniki, której uczył wyelegantowany profesor Nowosielski, wpada nasz dyrektor będący w nie najlepszym humorze. Rozejrzawszy się po klasie dla sprawdzenia frekwencji, siadł napuszony w ostatniej ławce. Ugrzeczniony pan Nowosielski pragnąc popisać się przed przełożonym, wywołuje mnie, jako znanego mu najlepszego w klasie ucznia przedmiotu i zadaje pytanie: co ja wiem o jaskrze pospolitym... ostrym? — poprawił wymaganie.

Ja, jak na złość, akurat poza nazwą łacińską, nic mądrego o tym zielsku nie pamiętałem. Pragnąc jednak wybrnąć jakoś z opresji (a nuż może ktoś wywoła dyrektora z klasy), zacząłem niby na pewniaka bąkać: — Jaskier ostry... po łacinie: Runculus acer; po niemiecku: der scharfe Hanenfus; po rusku... zaraz, po rusku? — To było niepotrzebne, ale się rzekło.

— Nu, jak to po rusku?! — zagrzmiał mi tuż nad uchem dyrektor.

— Aha, już wiem! Po rusku: kozełeć ostrij! Po grecku... po grecku zaś... tu zaciąłem się w odpowiedzi na dobre. Bo też mi nikt, psiakrew, nie podpowiedział, jak ten chwast przeklęty nazywali mądrzy Grekowie.

Kiedy zamilkłem, dyrektor rzucił swoje w klasę: — Nu, kto wi?...

Nikt tego nie wiedział, więc trwała cisza jak makiem posiał. Dyrektor zwrócił się więc do wykładowcy:

— Pan profesor pomoże! Ale Nowosielski spojrzał tylko na mnie jakoś dziwnie, jakby zagniewanie i dodał potem z niepotrzebną ufnością w głosie: — No, mów dalej chłopcze, co wiesz o jaskrze...

Ja stałem, niestety, milczący jak przysłowiowy słup soli. Dyrektor sądząc, że pedagog przy katedrze go nie dosłyszał, już otwierał usta, aby po swojemu huknąć: „Nu, pan profesor...!" — ale jakoś się rozmyślił, zwrócił się znów do mnie z odrobiną wyrozumiałości w głosie: — Nu, co dalej wisz o tym jaskrze?...

Ja naprawdę nic już więcej nie wiedziałem, ale zacząłem od początku: — A więc jaskier ostry to po polsku, po niemiecku..., po rusku..., po żydowsku... Dyrektor najwyraźniej nie chciał jednak zasłyszanych nazw po raz drugi słuchać, tylko podchwytywał chytrze: — Nu, ty, a po grecku?... Jak po grecku ma nazwę ten jaskier?!

— Nnnie wiem. Naprawdę nie wiem, panie dyrektorze! — Przyznając się do bolesnej klęski, uprzytomniłem sobie, że już na zawsze pogrzebałem w oczach profesora swoją dotychczasową opinię najlepszego botanika w klasie. Patrzyłem zawstydzony tępo przed siebie. A dyrektor, jakby nic, znowu rzuca stereotypowe pytanie: — Nu, kto wi?!... „Z pustego ani Salomon nie naleje", szepnął ktoś koło mnie w ławce. Cała klasa nie wiedziała.

Pan radca, dyrektor, z nawyku rozkazał: — Nu, pan profesor pomoże!... Patrzymy, a profesor Nowosielski czyni jakieś tajemnicze znaki w stronę zwierzchnika. Dyrektor nie zważa, ponawia swoje polecenie: — Nu, pan profesor pomoże!...

Zapanowała dramatyczna cisza, w której spostrzegliśmy, że profesor Nowosielski wzruszył tylko ramionami i popatrzył na dyrektora oraz potem na nas wyraźnie niezadowolony. Dyrektor zapisał coś sobie w notesie i sapiąc szykował się do wyjścia. Wtedy widać diabeł przekory wstąpił w naszego profesora, który odkaszlnął i spojrzawszy słodziutko w oczy pana dyrektora zapytał filuternie:

— Czy, czy pan radca przypadkiem nie wie, jak nazywa się po grecku omawiany jaskier ostry?!

Zaskoczony dyrektor spojrzał piorunującym wzrokiem na podwładnego, poczerwieniał na twarzy, wstał i jak tylko pozwalała mu na to jego tusza, wytoczył się szybko z naszej klasy. Z korytarza tylko potem dochodził jeszcze do nas głos jego kroków przy akompaniamencie gniewnego mamrotania, a także trzaskanie notesem o tęgie uda.

Roześmialiśmy się w głos całą klasą, wspierani ledwie tłumionym chichotem profesora Nowosielskiego. Opowiadał nam później, że pan dyrektor żalił się wobec grona nauczycielskiego, że nawet w niemieckim leksykonie nie mógł po pechowej lekcji znaleźć greckiej nazwy jaskra pospolitego.

(c.d.n.)

STEFAN CZEJKOWSKI

Przemysław Bystrzycki

TIPPERARY

Poniższy fragment pochodzi ze wspomnień wojennych zat. „Znak cichociemnych". Dotyczy pobytu autora w Unii Południowej Afryki, w sierpniu 1942 r. Na południowym cyplu kontynentu afrykańskiego nastąpiła dwumiesięczna przerwa w podróży kilkutysięcznego oddziału wojskowego, w którym znalazła się 1 i 2 kompania szkoły podchorążych 8 DP — w trakcie drogi ze Związku Radzieckiego do W. Brytanii. Autor służył w 2 kompanii szkoły.

* * *

MIJAJĄ parady, ćwiczenia, czas śpiewów. Poranne musztry, popołudniowe wykłady z taktyki i strategii prowadzone przez kapitana, dowódcę szkoły, autora znanej przed wojną powieści drukowanej w „Płomyku" pt. „Muszę ich odnaleźć" i „Zdzich szuka mamusi" — Jima Pokera (literacki pseudonim). Interesujące, lecz zawsze za długie wykłady, bo nadchodziła nasza wieczorna godzina.

Minęła rocznica bitwy pod Grunwaldem obchodzona 10 lipca, mimo protestu inteligentnego Tadzia o długich butach, że 15-tego data wypada, dzień 10 wybrał rozkaz szkoły jako datę obchodu, więc basta! Mijają warty pełnione nocą, najczęściej koło „mamra"; chwila nostalgii szarpiąca coraz dotkliwiej; zabawy wysiłkiem szacownych dam municypalnych organizowane w tzw. „Sali o krzywej podłodze", niedaleko anglikańskiego zboru; przyjęcia po prywatnych domach; odwiedziny polskich Żydów, osiadłych tu przed wojną jeszcze. Na nieistniejący fundusz Polskiego Wojska złożyli kilkaset południowo-afrykańskich funtów, które tym razem należało taktownie zainkasować.

Szła wiosna, dni ciepłały, a chór Szkoły Podchorążych 8 DP ćwiczył zapamiętale „Tipperary".

Ogłoszono zaciąg do chóru. Dał rezultaty nad wyraz znikome. Kto by tam piał stojąc w miejscu, jeśli z wigorem można pośpiewać w marszu.

Szef wiedział: rozkaz niewiele tu wskóra. Udzielił więc przywilejów: chórzyści eksperymentować mieli podczas zajęć służbowych — innymi słowy, dla nich zajęć służbowych nie było. Na ochotnika w tej sytuacji zgłosiła się cała kompania. Nawet Świderski zaryzykował. Bodaj jeden kucharz pozostał na boku i ordynans.

Dnie biegły. Na szczegółowe badanie pod hasłem trzech „w" — wokalnych walorów wolontariuszy — nie starczało czasu. Kolega — plutonowy trzymający batutę, na oko i po twarzy wybierał uczestników chóru spośród chętnych do przyszłego śpiewaczego grona. Uformował kupkę z trzydziestu chłopa. Kupka odeszła na zaciszne ustronie. Zaraz barani mek uderzył w nieboskłon. Psy rozszczekały się w odległych farmach. Murzyn niosący wodę do kompanijnej kuchni upadł prawie zemdlony.

To była całkiem inna szkoła niż śpiew w pochodzie. Melodie pociągliwe, ludowe, brak rytmu wystukiwanego obcasem. Plutonowy, w cywilu nauczyciel śpiewu, strzygł dużymi uszami, zaproponował powtórzenie taktu. Zgodnie otwarły się usta, lecz głos uwiązł w krtani.

Po repetycjach, nawrotach — pobiegły próby. Część darła gardła, część markierowała. Chodził kapelmistrz wśród młodzieży, mięsistą małżowinę przykładał do ust wokalistów, sprawdzał kto śpiewa. Przerywał w połowie zwrotki, wyciągał palec, mówił: widzę chłopa, z czym trzeba — bardzo szczegółowo określał, co chłopa określa — lecz głosu dziwnie nie słychać. A może tak solo?

Przyszedł nareszcie ten dzień. Niedziela — jedna z ostatnich w Pietermarizburgu. Rojne ulice w jakże ciepłym już słońcu. Ogumione, bezgłośne rikssze pod palmami. Cecil Rhodez rzuca krótki cień na trawnik przed townhalem. Obok, na cokole, para krótkich kolonialnych armatek, pokrytych śniedzią.

Tłum rósł, wnikał wszystkimi wejściami do ogromnej sali, największej w mieście. Podobno przyjechały wycieczki z dalekiej stolicy — Johannesburga. Mówiono, że na godzinę przed rozpoczęciem imprezy zabrakło miejsca. Plotki, przesada. Skąd by się nagle tyle chętnych znalazło w tym nie największym z miast, doliczając nawet przyjezdnych.

Na kwadrans przed rozpoczęciem występu domysły straciły żywot. Wchodzimy przez stage-door, to znaczy od tyłu. Na scenie, przy zasłoniętej kurtynie, świetliście. Otworami w grubym materiale zerkamy na salę. Tak — nie do wiary. Balkonów nie widać, krzeseł nie widać, ściany obramowane czarną, gęstą, ruchliwą boazerią. Drzwi główne i wszystkie wejścia zapasowe — otwarte na foyer. Gdzie spojrzeć: ludzie, ludzie, ludzie. Czy wytrzymają ciężar te balkonowe sklepienia, aż dziwne, że ciżba nie rozkruszyła ścian. Prawie wstyd, że tu na scenie tyle wolnej przestrzeni, wygodnie.

Gasną światła, gruby brokat wędruje pod sufit. Speech. Trzyma ktoś z dostojnej rady miejskiej, bodaj mer. Później nasz major poczciwy mówi przy pomocy tłumacza, ktoś jeszcze — i nasza partia.

Na razie kurtyna w dół. Wojsko na palcach wstępuje na estradę. Mimo że w takiej kupie, mam obrzydliwą tremę, jak przed, Boże nie karaj! — teatralnym debiutem.

Basy plecy mają szerokie, ulotnie niknę za tą naturalną przeszkodą. Nasz major krzaczasto-brwiowy trwa na posterunku. Przy wciąż zamkniętej kurtynie lustruje front chóru, zachęca do żołnierskiego wysiłku, dodaje męstwa. Lecz i ten stary żołnierz wybity jest z pantałyku.

— Cykoria, panie majorze, melduje.

— Oj, tak jest, ja to dobrze rozumiem. W dwudziestym roku wiecie, na wschodnim froncie, po odejściu naszych spod Łucka... — przerwa, dyrygent zajmuje pozycję. Opadnięciem krzaczastej brwi, co oznacza zapewne filuterne zmrużenie oka, przesyła jeszcze ostatnią dawkę wigoru. Dorzuca: „Wasz dowódca czuwa za kulisami, głowa do góry, chłopcy". — Kieruje swą postać na wymieniony punkt dowodzenia za sceną.

Dyrygent mruczeniem rozdziela „głosom" tony. Ma spokój — stary rutyniarz. Ten z niejednego widowisko-

W rocznicę wybuchu I wojny światowej

Tu twierdza Przemyśl ...kapitulujemy

W roku bieżącym mija 54 lata od wybuchu pierwszej wojny światowej, w której Przemyśl odegrał niepoślednią rolę. W wyniku pierwszego rozbioru Polski, w 1772 roku miasto przejęli Austriacy, którzy wykorzystując naturalne usytuowanie terenu rozpoczęli pośpieszną jego fortyfikację. Pierwsza wojna światowa zastała Przemyśl już ufortyfikowanym, podniesionym do rangi twierdzy pierwszej klasy, zaliczanej w tym czasie do jednej z najpotężniejszych w Europie. Komendantem jej był gen. Kusmanek.

W wyniku ciężkich walk Austriacy zostali zmuszeni do odwrotu. Dnia 29 IX 1914 r. Przemyśl został otoczony przez Rosjan. Rozpoczęło się oblężenie. Twierdzy broniło 128 tysięcy żołnierzy i 1 010 dział różnego kalibru. 5 X 1914 roku Rosjanie rozpoczęli szturm. Do walki rzucono 117 batalionów wojska wspomaganych ogniem 483 dział. Zaciekłe ataki Rosjan załamywały się w huraganowym ogniu obrońców. Przedpole usiane było stosami zabitych i rannych. Po trzech dniach walki Rosjanie wycofali się na pozycje wyjściowe tracąc około 4 000 zabitych i blisko 6 000 rannych. 9 października nastąpił kontratak Austriaków. Po zaciekłych walkach Rosjanie zostali odparci. Nie na długo jednak, bo już 9 listopada Przemyśl ponownie został przez nich otoczony. Rozpoczęło się długie, wyczerpujące oblężenie. Dowódca 11-tej armii gen. Seliwanow zdając sobie sprawę z niemożności zajęcia Przemyśla szturmem, postanowił zdobyć twierdzę głodem. Przewidywania okazały się słuszne. Zapasy obrońców szybko się wyczerpywały.

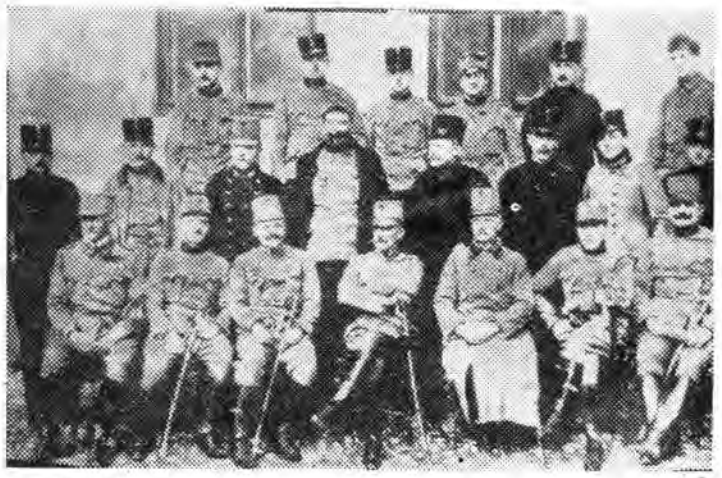

Gen. Kusmanek — komendant twierdzy Przemyśl i jego sztab.

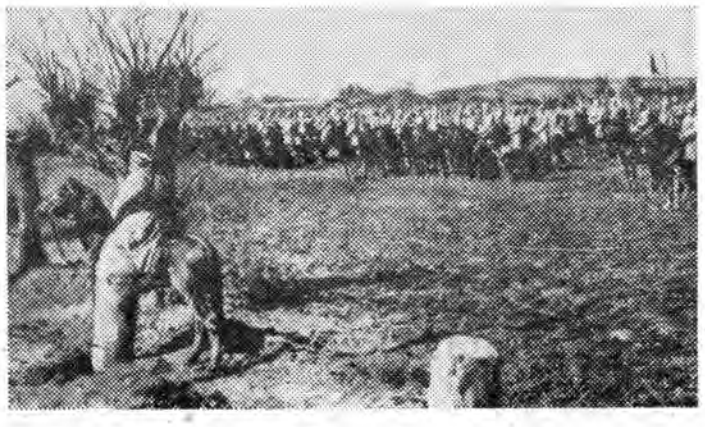

Przegląd Kozaków pod Przemyślem.

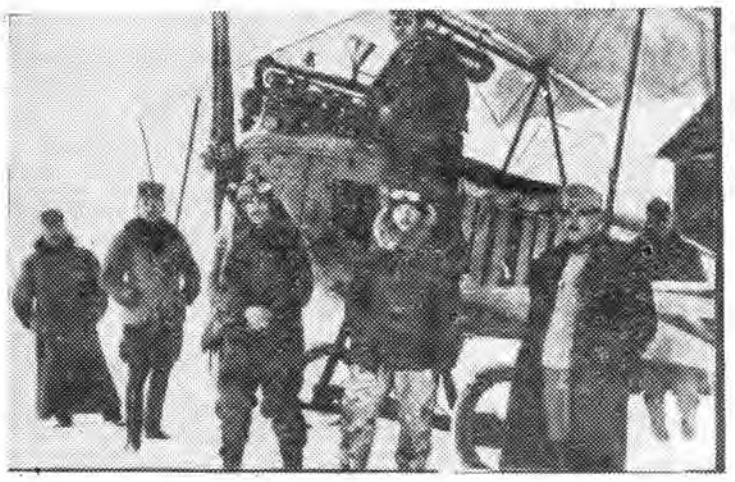

22 marca 1915 roku odlecieli z Przemyśla ostatni lotnicy.

Wręczanie orderów żołnierzom rosyjskim — zdobywcom twierdzy Przemyśl.

22 III 1915 roku wysadzono w powietrze prochownie, mosty i radiostację. Niszczono sprzęt wojenny, tajne dokumenty i zapasy pieniędzy. Twierdza Przemyśl poddała się. Do niewoli rosyjskiej dostało się 117 tysięcy żołnierzy.

23 kwietnia 1915 roku do Przemyśla przybył wraz ze swym sztabem Mikojaj II. Żyją jeszcze w Przemyślu ludzie, którzy widzieli wówczas na własne oczy cara zwiedzającego forty.

2 maja 1915 roku, po gwałtownym ataku Niemców pod Gorlicami, front rosyjski został przerwany i Rosjanie zostali zmuszeni do odwrotu. Po ciężkich, krwawych bojach w dniu 3 VI 1915 roku do Przemyśla wkroczyli znów Austriacy.

Takie oto burzliwe koleje losu przechodziła twierdza Przemyśl w latach 1914—1915. Do dziś zachowało się wiele fortów i umocnień, które chętnie zwiedzają przybywający do Przemyśla turyści.

Z. GROCHOWSKI

O WYSTAWIE MARIANA Strońskiego

W „Życiu Warszawy" ukazała się recenzja Ignacego Witza z ostatniej wystawy Mariana Strońskiego. Oto jej fragmenty.

W „Pałacyku TPSP" na Rutkowskiego, malarz siedemdziesięcioletni: **Marian Stroński** z Przemyśla. Jest to niewątpliwie jedna z najciekawszych wystaw ostatnich miesięcy pod względem artystycznym i psychologicznym. Ten szlachetny artysta, dający naturę w dziwnych osobistych transformacjach, pełnych ładu, światła przestrzeni, czułości koloru oraz materii, ten malarz prawdziwie i najgłębiej poetycki, harmonijny — a tu mógłbym mnożyć określenia tę sztukę pod każdym względem chwalące...

(Artysta)... zrywa ze wszystkim, co było charakterystyczne w dawnym jego malarskim życiu, szuka pełni gry kolorystycznej, usiłując w niej jak i w kompozycyjnych układach zamknąć zachwyt lub przejęcie się przyrodą. Stroński jest jednym z tych artystów, których cenię najbardziej. Niestety, należy on również do poważnego grona malarzy właściwie szerzej nieznanych. Mam nadzieję, że obecna wystawa, artysty sędziwego, lecz w trudzie nieustępliwego i młodego (a nie jest to tym razem zwyczajowy komplement stosowany do jubilatów), uczyni go popularnym i wynagrodzi trud uparcie samotny, lecz pełen entuzjazmu i wiary w cud malarstwa, który w przemyskiej pracowni dokonuje się każdego dnia.

wego pieca chleb jadał. Będziemy śpiewali bez orkiestry, więc jak ktoś zapamięta teraz melodię, tak za minutę zacznie.

Ukryty za rozległymi barami basów, śpiewać mam partię pierwszych tenorów. Wysokim mekiem mogę tym pleczystym chłopom mieszać szyki, lub co prawdopodobniejsze, wejść na ich nuty. Lecz medytacjom i zmianie stanowiska czas już nie sprzyja: pssst!, pssst! — czerwona, ciężka kurtyna znów się unosi. Ani ścian, ani zarysów twarzy, trochę iskier od wygaszonych kandelabrów. Wnętrze mrocznego, wulkanicznego krateru; gorący opar uderza w twarz, oblewa potem.

W programie najpierw trzy rodzime pieśni ludowe, w tym jedna pseudo-góralska: „Hej, idę w las".

Początek marny. Pierwsza polska śpiewka biegnie licho, bez cieniowania, drugie basy gaszą linię tenorów .Winię, naiwny, siebie; przytłumiony będąc śpiewem sąsiadów odstąpiłem od własnej partii, wszedłem na obcy teren drugich basów. Aby odzyskać choć częściowo własny ton. postanawiam pośpiewać teraz równocześnie na dwa głosy. Jeśli nie dotrę do dolnych rejestrów tych rozrośniętych panów, pochwycę ton z przyrodzenia oraz dyrygenckiego wyboru mi przynależny i podeprę tenory pierwsze.

Trudno dziś ocenić przyczyny, wiem tylko, że żaden udział w tym moich strun głosowych. Melodia o Mazurze co leży na desce i gotów skakać po śmierci, zabrzmiała mniej więcej jak należało.

Oklaski wcale, wcale. I gwizdy: oznaki dużej przychylnej owacji. Troszkę peszy ta świszcząca aprobata, lecz przed występem uprzedzono, że to nie Polska, więc podobne objawy audytorium należy przyjmować z wdzięcznością.

Więc przyjmujemy z wdzięcznością — i dopełniony ma zostać naszego programu punkt trzeci.

Potężnieje ciepło idące od krzeseł, czerń widowni kotłuje, kłębi się. Rozróżniamy jasne, ciągliste szarfy w tłumie, od ściany do ściany — to twarze; jesteśmy już całkiem spokojni. Wyschły strumyczki potu maszerujące dotąd niezdecydowanie po plecach. Wiemy, że należy się skupić, aby finał tego występu okazał się godnym finałem.

Podczas przerwy nabrzmiałej brawami dociera zza kulis bas majora: „Nie dać się chłopcy, wasz dowódca na was spogląda".

Musimy czekać aż spokój zapanuje pośród pietermaritzburczyków. Musimy czekać aż nam w tej sali pozwolą znów dojść do głosu. Śpiewamy w polskim języku, śpiewamy obce, nieznane tym ludziom pieśni, lecz widocznie takie szczegóły są tutaj bez znaczenia. Naszym wokalnym wysiłkom towarzyszy nie grzeczność, lecz kurtuazja. Skaeze do góry barometr naprawdę serdecznych uczuć. Doznajemy tych wrażeń nieomylnie, skupieni drobną, zieloną grupą uformowaną w półkole na tle jasnych, spokojnych kulis, pod wzrokiem kilku tysięcy. Każdy okrzyk z tej czarnej studni, z tamtej strony jakże jasnej rampy — jest zachętą, oczekiwaniem. Oczekiwaniem — na co?

Cisza. Zaczynamy po raz czwarty. Na pół mocy, wyraźnie akcentujemy polskie słowa. Szczególne znaczenie posiada teraz polski tekst. Melodia jest irlandzkiej piosenki z pierwszej wojny światowej. Melodia jest „Tipperary". Znana wszystkim dokąd dotarł język angielski.

Wstają z miejsc, na sali bucha światło. Milkną rozgorączkowani, ze wzniesionymi do braw rękami, bo te wyraźnie polskie słowa mówią, że piosenka to polska.

Marszowy rytm — nasza specjalność. Jak w takt ostrego kroku, równo, bez zadyszki, regulowany od miesięcy oddechem dla marszowych właśnie okazji, gdy ani w głowie było śpiewać na scenie, maszerujemy w słowach, maszerujemy w myślach. Ten marsz ma jakieś szczególne znaczenie. Oddział w podróży. Pochód jest jego naturą. Marsz stanowi, że oddział jest. Pochód jest życiem oddziału. Jest rozdzielonym na kroki, setki, tysiące, miliony kroków ruchem grupy żołnierzy w północną stronę spod słońca południowej półkuli, ruchem tam, gdzie się nas czeka. Oddział wojsk polskich najodleglejszy w historii od własnej ziemi, bardziej niż ci z Murmańska od Dowbora, lub owi napoleońscy nieszczęśnicy z Tahiti. Dość!

Sala, wiwaty, tłumione coraz trudniej niecierpliwe drżenie w kolanach. Obawa, najprawdziwsza w świecie: aby na tych wyniesionych ponad ludzkie głosy deskach, na kilkunastu metrach kwadratowych, nie zacząć maszerować naprawdę. W dodatku z majorem zza kulis.

Na sali cisza jak makiem siał. W tych tysiącach par oczu jest może odrobina zawodu, że raczymy zebranych nie ich lecz polskim librettem:

Lwy angielskie dzisiaj na straży,
Wespół z orłem białym ślą,
Ostrzeżenie, by się nie ważył,
Niemiec ufać w siłę swą...

Lecz wdzięczni są za tę miłą sercu każdego Brytyjczyka pieśń. Pieśń o solidnej tradycji. Pieśń takiego ich żołnierza tułacza, który na odległym przedmieściu dalekiego miasta zostawił dziewczynę, do której biegnie serce.

Kończymy trzecią polską zwrotkę i — teraz kto będzie szybszy? Tak nie zdążono nam przerwać brawami. Więc forte? Skądże! Fortissimo! Na pełny gaz, na gaz do deski! Ile sił w piersiach i umiejętności w języku buchnęła „Tipperary" w oryginalnym angielskim tekście.

It's a long way to Tipperary,
It's a long way to go.
It's a long way to Tipperary,
To the sweetest girl I know.
Good bye Piccadilli,
Good bye Leicester Square.
It's a long, long way, to Tipperary,
But my heart rides there!

Prędzej złamię me liche pióro niż zdołam opisać co się działo wtedy na sali. Ludzie, powstali z miejsc wcześniej, ruszyli ku scenie. Straszliwy ryk, pomieszany z potężnymi gwizdami. Zza kulis dobiegł bojowy okrzyk majora, później nic już nie było słychać. Nawet nas!

Wołano: bis, krzyczano: bis, ba — żądano bisów, nieustępliwie, natarczywie. Powtarzaliśmy rzecz po polsku i po angielsku — raz, drugi, trzeci.

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

SAMORZĄD ROBOTNICZY w opinii robotników „Polnej"

REDAKCJA: Nasze spotkanie ma na celu przedyskutowanie jednego z najważniejszych problemów demokracji ludowej, a mianowicie — praktyki samorządu robotniczego. W naszym zakładzie istnieje konferencja samorządu robotniczego i rada robotnicza. Jak oceniacie prace waszego przedstawicielstwa? Chodzi nam o to, czy samorząd robotniczy spełnia swoją rolę, czy czujecie się gospodarzami zakładu.

ADAM RÓG — ŚLUSARZ REMONTOWY, LAT 34, CZŁONEK PZPR

A. RÓG — „...rola rady ogranicza się do statystyki".

Rola samorządu robotniczego w zakładzie socjalistycznym jest ogromna. Załoga winna decydować o losie przedsiębiorstwa, gospodarce, stosunkach międzyludzkich, o jego rozwoju itd. W „Polnej" rola ta jest ograniczona, gdyż dyrekcja nie zezwala na ingerowanie w te dziedziny, za które dyrektor odpowiedzialny jest materialnie. Czasem dochodzi do różnicy zdań, a rola rady robotniczej ogranicza się do statystyki. Dyrekcja podaje swoje propozycje na KSR i tam są one z reguły zatwierdzane. Rada robotnicza nie ma inicjatywy tam, gdzie tworzy się nowe koncepcje i wytycza kierunki rozwoju przedsiębiorstwa. Również działalność RR w dziedzinie spraw socjalnych pozostawia dużo do życzenia. Wystarczy chociażby wspomnieć o administracji budynków mieszkalnych lub o nierozwiązanej dotychczas sprawie przepałów w kotłowniach bloków zakładowych, w których mieszkańcy płacą olbrzymie sumy za centralne ogrzewanie. Te sprawy muszą być i na pewno zostaną poruszone na najbliższym posiedzeniu KSR.

JAN SAGAN — ŚLUSARZ PRODUKCYJNY, SEKRETARZ OOP, LAT 52

JAN SAGAN — „...Jeśli dyrekcja wykonuje zarządzenia KSR, trudno rządać więcej".

Moim zdaniem, nie można pracy RR oceniać tylko negatywnie. Uważam, że od chwili powołania na naszym wydziale oddziałowej rady robotniczej zmieniło się bardzo dużo. Pewne niezadowolenie wywołują sprawy socjalne. Wiem jednak, że RR oraz dyrekcja są jak dotychczas bezsilne, gdyż nie mają środków na zaspokojenie potrzeb.

Radzie można by zarzucić to, że nie prace w całym składzie, a jedynie przewodniczący został obarczony pracą. Wpływa to ujemnie na tok załatwiania niektórych spraw. Nie zgadzam się z tow. Rogiem, który, twierdzi, że nastawienie dyrekcji do rady jest złe. Jeżeli dyrekcja wykonuje wszystkie zalecenia KSR, a dotychczas tak jest, to trudno żądać więcej. Zainteresowanie samorządem jest wśród robotników duże, ale nie wszystko w „Polnej" jest w porządku. Trudno robotnikowi czuć się gospodarzem zakładu, gdy uważa się za pokrzywdzonego. Myślę tu o wypadkach, które miały miejsce ostatnio. Rozwijamy eksport do Francji i Włoch. Bardzo nas to cieszy, ale nie możemy zrozumieć dlaczego stawki i grupy przy produkcji wyrobów eksportowych są często niższe, niż za detale przeznaczone na rynek krajowy. Tłumaczą nam, że jest to zarządzenie odgórne, że nowe normatywy, itd., itp., ale niczego to nie zmienia. Ludzie są niezadowoleni, mistrz i kierownik wydziału rozkładają ręce i nie ma komu zająć się tą sprawą. Tu właśnie widzę zadanie dla rady robotniczej.

Moja rola, jako sekretarza oddziałowej organizacji partyjnej na największym wydziale, jest często nie do pozazdroszczenia. Muszę załatwiać takie sprawy, które należą do administracji. Na przykład — niedawno jeden z robotników chciał iść ze swoją kartą pracy do dyrektora. Wyznaczono mu zły czas, mistrz się z nim zgadzał, ale nic nie mógł pomóc. Trzeba było iść z tym do kierownika wydziału, szefa produkcji, aby krzywdę naprawić.

KAZIMIERZ MAZUREK — TOKARZ, LAT 19 CZŁONEK ZMS

Według mnie, samorząd robotniczy w zakładzie działa sprawnie. Uważam, że stanowi on prawdziwe przedstawicielstwo robotników w rozmowach z dyrekcją. Wydaje mi się jednak, że za mało jest w jego organach ludzi młodych, a przecież my, młodzi robotnicy, stanowimy w zakładzie znaczny odsetek. Nasza zetemesowska organizacja powinna żywiej interesować się sprawami ekonomicznymi fabryki, bardziej wpływać na jej losy.

Jeśli idzie o normy, to również miałbym do niektórych z nich zastrzeżenia. Często zdarza się otrzymywać pracę, przy której nie można wykonać normy. Największą bolączkę stanowią braki w narzędziach. Z tego powodu robotnik traci najwięcej czasu. Był u nas czas, kiedy brakowało materiałów. Teraz jest z tym już lepiej, ale z narzędziami sytuacja jest w dalszym ciągu zła.

K. MAZUREK — „...największą bolączkę stanowią braki w narzędziach".

* * *

REDAKCJA: Tyle robotnicy. O komentarz wobec wygłoszonych tu opinii zwróciliśmy się do przewodniczącego rady robotniczej, inż. Zenona Radonia.

Oto jego wypowiedź:

— Cieszę się bardzo, że doszło do tego rodzaju dyskusji. Wypowiedzi robotników są interesujące, świadczą o dużym zaangażowaniu. Nie wszystko jednak naświetlono tu zgodnie z prawdą. Tow. Róg uważa, że rada robotnicza jest tylko statystykiem pomysłów dyrekcji. Otóż tak nie jest, aczkolwiek uczestnikom KSR-ów może się wydawać, że inicjatywa rady nie istnieje. Trzeba jednak powiedzieć, że żadna propozycja dyrekcji nie jest stawiana na forum KSR, bez uprzedniego przedyskutowania jej w czasie roboczych kontaktów. Takie załatwienie sprawy jest nieodzowne ze względu na dużą złożoność problematyki ekonomicznej.

Na zebraniu, w którym bierze udział kilkadziesiąt osób nie sposób od początku omawiać szczegółowych problemów technicznych, organizacyjnych lub ekonomicznych. Jeśli idzie o te „rejony zakazane" to nie ma problemu, gdyż ustawa o samorządzie robotniczym ściśle określa granice kompetencji.

Podobnie jest z zagadnieniami socjalnymi. Wchodzą one w zakres pracy rady zakładowej związków zawodowych i nasza rola polega tu na interwencjach w sprawach noszących znamiona drastycznych zaniedbań. Wniosek z tego jeden. Wciąż za mała jest znajomość kompetencji i działalności Konferencji Samorządu Robotniczego wśród załogi.

Trudno się natomiast nie zgodzić z wypowiedzią tow. Sagana. Z pracą kolektywną u nas nie jest najlepiej i nietrudno o przypadki lekkiego traktowania poważnych praw warsztatu. Dużo się u nas w „Polnej" w tej dziedzinie zmieniło, ale wciąż nie jesteśmy zadowoleni i dużo jest do zrobienia.

Chcę omówić sprawę stawek na częściach eksportowych. W zakładzie nie stosuje się specjalnych płac za detale, które są przedmiotem eksportu. Jedyną ewentualną nagrodą za pracę przy częściach przeznaczonych na eksport jest premia za efektywność eksportu. Wypadki zaś, o których wspomniał tow. Sagan, powstały ze zbiegu okoliczności. Ostatnio dostaliśmy ze zjednoczenia polecenie, aby stosować normatywy jednolite; określają one jednoznacznie sposób ustalania czasów jednostkowych i pomocniczych. W wielu wypadkach są to wielkości mniejsze niż stosowane u nas do tej pory. W związku z tym teraz cała dokumentacja opiera się na nowych danych. Ostatnio w oparciu o te zasady wykonano dokumentację na siłowniki dla Włoch i stąd odczucie, że za eksport płaci się mniej.

Staneliśmy zatem przed niełatwym zadaniem. Jak uczynić zadość poleceniom dobrej atmosfery pracy. Trudności te pokonujemy.

Redakcja: Wydaje się, że te normy, które obowiązywały u was dotychczas były uwarunkowane poziomem organizacji zakładu, jego zaopatrzeniem w materiały i narzędzia. Większy czas przewidziany na pracę pozwalał robotnikowi pokryć straty wynikłe z niedomogów organizacji. Teraz, gdy czas został skrócony, trzeba pomóc robotnikowi i w ten sposób, aby nie musiał on czekać na materiał i szukać narzędzi.

Inż. Radoń: W tym kierunku idą przede wszystkim nasze przedsięwzięcia. Wiele nam tu pomoże realizacja uchwały Zakładowej Komisji d/s Usprawnień Organizacji Produkcji, która pracowała po VII Plenum i wytyczyła dalekosiężne plany poprawy organizacji pracy na wszystkich szczeblach.

ROZMAWIAŁ:
JAN KOWSKI

U ARTURA...

Skrzypce Artura z lat dziecięcych.

Jak już donosiliśmy w Muzeum Ziemi Przemyskiej otwarta została wystawa p. n. „Artur Malawski — życie i twórczość". Przemyśl zyskał nową, niezwykle cenną placówkę kulturalną — archiwum pamiątek po słynnym kompozytorze. Na razie znajdują się w nim fotografie, listy, stare zaproszenia na koncerty, afisze, wycinki z prasy i wydawnictwa muzyczne. Zwiedzającym ekspozycję towarzyszy utrwalony na taśmie magnetofonowej, głos Artura Malawskiego. Nagranie pochodzi z 1957 r., a dokonane zostało w Rozgłośni Krakowskiej PR na dwa miesiące przed śmiercią autora „Wierchów". Mamy także okazję usłyszeć miniatury fortepianowe w wykonaniu znakomitej pianistki, najlepszej odtwórczyni muzyki Malawskiego — Reginy Smendzianki. Tyle na razie, gdyż w przyszłości (i to już chyba nie tak dalekiej) organizatorzy wystawy na czele z red. M. C. Guziołek zamierzają m. in. organizować muzyczne „Wieczory u Artura", by w ten sposób popularyzować jego twórczość.

Przybyli na otwarcie wystawy — nestor rodu Malawskich dr Jan Theobadl z Poznania oraz siostra matki Artura, p. Zofia Dačko w rozmowie z mgr Janem Felczyńskim.
FOT. Z. WOJTOWICZ

Gdzie mają się bawić?

W co się bawić, to dla nich nie problem. Zmartwienie ogromne mają ze znalezieniem odpowiedniego miejsca na wakacyjne zabawy. Dzieci zamieszkujące okolice Winnej Góry nie są dziećmi z Leszczynowej Górki. Nie wyjeżdżają przeważnie nigdzie, a w rodzinnym mieście, w pobliżu własnych domów nie mają miejsca zabaw. Gdy hałasują na podwórkach, przepędzają je starsi, którzy zmęczeni po pracy chcą odpocząć. Wynoszą się więc jak niepyszni, chcą uniknąć ciągłych utyskiwań. Zadomowili się na tzw. „baniakach". Okazało się, że poważną przeszkodę w prowadzeniu zabaw (szczególnie z piłką) stanowi ogród pewnego pana. Biada, jeśli piłka nieopatrznie zawieruszy się w tamte okolice... Nie dość, że z pewnością już jej nie odzyskają, ale nasłuchają się jeszcze niewybrednych epitetów pod swoim adresem, że im uszy puchną. Próbowali utworzyć plac gier między budynkami nr 62—64 na ul. St. Augusta. Nic powiodło się. Albo tłukli piłką szyby i narażali rodziców na koszty, albo straszeni byli „kolegium" przez właścicielkę ogródka; strachom towarzyszyła oczywiście wspaniała wiązanka również pod adresem rodziców owych nieposkromionych dzieciaków, które bez przerwy wyrządzają jej krzywdy i szkody.

W ich przypadku nie sprawdziło się przysłowie: Do trzech razy sztuka... Desperacko myślą o zabawie na ulicy. A przecież ulica — i to tak ruchliwa jak 3 Maja — nie stanowi miejsca zabaw. Przebywanie na niej bez opieki, zwłaszcza małych dzieci, których w tej grupie nie brakuje — grozi kalectwem lub śmiercią.

Jedynym wyjściem z impasu jest zainteresowanie tą sprawą komitetu blokowego, aby dorośli przyszli z pomocą dzieciom. Niezależnie od tego MKKFiT powinien zadbać o gęstszą siatkę zorganizowanych placów gier i zabaw w niektórych dzielnicach. W przeciwnym bowiem razie dzieci chować będzie „pani profesor ulica". A tego nikt z nas sobie nie życzy...

„ALGA"

Konkurs

„Praca leśników i drzewiarzy"

Związek Zawodowy Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego — Zarząd Główny ogłasza konkurs fotograficzny pt. „Praca leśników i drzewiarzy". Ma on na celu spopularyzowanie pięknej, ale jednocześnie trudnej i odpowiedzialnej pracy załóg zatrudnionych w przemyśle i państwowych gospodarstwach leśnych.

W konkursie mogą brać udział tylko członkowie Związku Zawodowego Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego. Zdjęcia wykonane dowolną techniką o formatach od 18x24 (mniejsze nie będą uwzględniane) z załączoną osobną kopertą z nazwiskiem autora, należy nadsyłać do dnia 1 marca 1969 roku na adres: Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Leśnych i Przemysłu Drzewnego, Warszawa, ul. Kopernika 36/40 — „Konkurs fotograficzny".

Za najlepsze pod względem tematycznym, artystycznym i technicznym fotogramy ustalono następujące nagrody: zbiorowe dla kół fotoamatorów — 5 000, 4 000 i 2 500 zł, indywidualnie — 1 500, 1 000 i 750 zł. Poza tym przewidziano: 15 wyróżnień i dyplomy uznania.

Śladem naszych notatek

Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej zawiadomiło nas, że studnia przy ul. Żeromskiego została wyremontowana i ponownie uruchomiona.

ZAPOMNIANO O PIONIERACH

Z wielkim zaciekawieniem przyczytałem na łamach „Życia Przemyskiego" artykuł „Dzieci jak inne" i postanowiłem uzupełnić go swoimi uwagami.

Osobiście byłem świadkiem pionierskiej pracy pierwszego dyrektora Państwowego Zakładu Dzieci Głuchych w Przemyślu **Tadeusza Jurewicza**, który zapoczątkował piękny rozkwit tej ważnej placówki dydaktyczno-wychowawczej. Ów dyrektor z garstką jeszcze niewykwalifikowanych wychowawców: S. Fortuną, Cz. Dziubą, M. Ciećkiewiczową, wraz z grupką dzieciaków ogłuchłych poważnie na skutek działań wojennych z wielkim wysiłkiem odgruzował budyneczek b. Zakładu Sierot **„Józefków"**, wyplantował teren pod przyszłe boisko szkolne, a mistrz murarski p. **Klepacki** przeprowadził adaptację pomieszczeń dla potrzeb szkoły, internatu i warsztatu szewskiego. Takie były trudne początki, obejmujące lata **1951—1953**, kiedy państwo, odczuwając inne potrzeby, nie asygnowało ze swego skarbca zawrotnych kwot na rozbudowę zakładu.

Z inicjatywy Tadeusza Jurewicza zbudowano skromniutką cieplarnię — zalążek przyszłych wielkich ogrodów — porobiono klomby, zbudowano scenę teatralną, zaangażowano wybitnego laryngologa dr J. Kędzierskiego, który tu prowadził gabinet lekarski. Liczba dzieci nie przekraczała wówczas setki, ale ojcowska troska o nie sprawiła, że dyrektorowi nadano miano **„Tatuńcia"**. Spotkać go można było zawsze od godziny 5—21 wśród dzieci, które nade wszystko umiłował.

Wspaniałe gazony kwiatowe, estetyka wnętrz, codzienne poranne apele z wywieszeniem flagi państwowej na maszt — wszystko to utkwiło mi doskonale w pamięci.

O ile wizytacje naczelnika **Mirkiewicza** z Rzeszowa stały się tak częste, że nikogo nie krępowały, o tyle przyjazd światowej sławy naukowców: dr **Marii Grzegorzewskiej** i **Wacława Tulodzieckiego** z Instytutu Pedagogiki Specjalnej w Warszawie były dla Zakładu Dzieci Głuchych niemal świętem.

Oczywiście, o telewizji wówczas nikt nie marzył, ale wychowawca Cz. Dziuba skonstruował dzieciom teatr chińskich cieni, a wychowawczyni i nauczycielka Sylwa prowadziła teatrzyk lalek.

Już wtedy szkoła kierowana przez **M. Lichowską** posiadała wielkie osiągnięcia dydaktyczne. Od tego czasu minęło 15 lat. Ludzie się zmienili, a mały budyneczek, w którym kiedyś tętniło życie z inicjatywy wymienionych osób — cichych i zapomnianych — jakby przykucnął do ziemi w obliczu potężnych bloków wzniesionych w najbliższym jego sąsiedztwie. Przyjemnie jest czytać nazwiska ludzi, którzy wysiłkiem codziennego trudu pracują nad rewalidacją kalek, ale nie zapominajmy nigdy o pionierach.

M. KRAJEWSKI

Zamiast recenzji

Wykop pod murem

Pamiętacie „Piątkę z ulicy Barskiej"? Jest to książka, o której wypowiedziano wiele kontrowersyjnych zdań. W moich szkolnych latach była ona jednak bezsprzecznie jedną z najciekawszych lektur.

Oczywiście dorobek literacki KAZIMIERZA KOŹNIEWSKIEGO nie kończy się na „Piątce". Spośród wielu napisanych przez niego książek czytałem chyba z dziesięć. Większość z nich poświęcona była tematyce młodzieżowej i to nie w sposób płytki, „ślizgający się" po zagadnieniu... Pozycje, z którymi się zapoznałem mają wiele walorów dobrych książek (są przede wszystkim, jak to określa „Przekrój" — do czytania), posiadają głęboki aspekt pedagogiczny i duży stopień zaangażowania.

Fabuła ostatnio wydanej powieści Kazimierza Koźniewskiego) osnuta jest na tle buntu młodych przestępców przebywających we wzorowym, eksperymentalnym zakładzie penitencjarnym. Akcja ta nie opiera się jedynie tylko na zbeletryzowanej śledczej prawdzie wydarzeń — jak określa to sam Koźniewski — lecz stanowi frapującą wersję buntu opartą na supozycji pedagogicznej autora i doszukującą się przyczyn, które mogły do tej rewolty doprowadzić. Zbuntowana społeczność więzienna to dwie antagonistyczne grupy młodych ludzi: kryminalistów i politycznych — ci ostatni odsiadują swoje wyroki za terrorystyczną działalność przeciwko kształtującej się władzy ludowej w pierwszych latach po wyzwoleniu kraju.*

A oto dwa krótkie fragmenty książki:

— „Już kopią! — szepnięto zza muru. Wieść była szybsza niż pierwszy, załadowany kubeł. Kubeł z twardą, kamienistą ziemią podano w sekundę później. Ciężki. Trzeba będzie częściej wymieniać ludzi. Może to i lepiej. Krzysztof szepnął Kośnemu:

— Zmęczeni dźwiganiem kubłów nie mogą zabierać się do kopania. Z kopania niech schodzą do podawania, a potem będą odpoczywać..." (str. 101).

„...Walczący więźniowie spojrzeli w okno, za którym stał Jezuita.

Adam trzymał swój automatyczny pistolet i długimi, terkotliwymi seriami strzelał do zbliżającej się tyraliery.

Nie poddawał się jeszcze.

Nie poddawali się.

Działali instynktownie i sprawnie. Pary walczących odwróciły się. Jedni celowali pod bramę, drudzy w nadchodzących z dziedzińca.

Strzelali — bez przerwy, uparcie, w zapamiętaniu.

Jezuit nie przerywał ognia. Atakujący padali. Może ranni, może kryjący się przed pociskami..." (str. 286).

To naprawdę ciekawa książka. Należy ona do tych, które czyta się jednym tchem. Jest pasjonująca i zmusza do myślenia. JG

*) Kazimierz Koźniewski „Bunt w więzieniu", wyd. „Czytelnik" 1968 r., str. 296, cena 16 zł, nakład 10 280 egz.

Redakcja odpowiada:

Aleksander Sugajski, Birczа. — Racja po Pańskiej stronie, jeśli oczywiście nazwa Brzuska pochodzi od brzozy. Przypadek ten nie jest odosobniony, lecz zmiana pisowni w nazwie miejscowości nie taka prosta jakby się zdawało. Podobnie jest z Sufczyną. Dlaczego przez „f", a nie przez „w"? List prześlemy do Prezydium PRN.

„O srebrną tacę"

Zawodnicy powoli zbliżają się do mety

Jeszcze tylko 4 tygodnie pozostało do zakończenie konkursu Przemyskich Zakładów Gastronomicznych i naszej redakcji na najlepszą restaurację i najlepszego kelnera sezonu tyrystycznego 1968 r. Trzon konkursu stanowią panie ze „Słowiańskiej" i „Polonii", ktore mają największą ilość głosów. Do walki przystąpili ponadto kelnerzy z „Adrii", „Oazy", „Misia", „Ludowej", „Powszechnej", „Srodmiejskiej", „Mostowej", „Zasańskiej" i baru „Obywatelskiego". Cenny jest każdy głos zarówno turysty, jak i stałego konsumenta przemyskich jadłodajni.

Zachęcamy, piszcie o tych, którzy was obsługują!! Jeśli zadowolony jesteś z obsługi, wyślij kupon konkursowy pod adresem naszej redakcji (regulamin pozwala uczynić to wielokrotnie) lub wpisz swoje uwagi do książki wniosków, znajdującej się w każdej restauracji, barze, kawiarni.

Przypominamy, że na najlepszych kelnerów czekają nagrody w postaci wartościowych bonów towarowych, a pomiędzy uczestniczących w konkursie konsumentów rozlosowane zostaną nagrody rzeczowe ufundowane przez Przemyskie Zakłady Gastronomiczne i redakcję „Życia Przemyskiego".

Na zakończenie konkursu odbędzie się spotkanie konsumentów z mistrzami „srebrnej tacy".

Może to właśnie ciebie LOS uzna za wybrańca?...

KUPON KONKURSOWY

o srebrną tacę

Jeśli zostałeś szybko, dobrze i grzecznie obsłużony, wytnij, wypełnij i wyślij pod adresem redakcji.

Nazwisko i imię lub nr kelnera (kelnerki) . . . . . .

. . . . . .

Nazwa restauracji . . . . . .

. . . . . .

Nazwisko, imię i adres uczestnika konkursu . . . . . .

. . . . . .

Ułani na koniach (mechanicznych)

Kto z nas, mieszkańców Przemyśla, nie odwiedza Kopca Tatarskiego?... Trudno o takich. Jest też grupa młodych, która upatrzyła sobie to miejsce, jako teren motocyklowych „crossów".

Jeżdżą więc nasi „ułani XX wieku" po wertepach dawnej twierdzy, pokonują stromizny po których „ceprowi" trudno się wyskrobać. Czasem przywożą tu swoje kociaki, które stanowią dla nich jedyną, ale chyba bardzo wdzięczną publiczność.

Dziś, gdy wybrałem się na Kopiec, by uronić łezkę nad zwaloną wieżą triangulacyjną, znów spotkałem motorowych ułanów.

Było ich dwóch. Jeden przywiózł na siodełku „publiczność". Wkrótce rozpoczęli harce. Raz po raz ich stalowe rumaki stawały dęba, aby z jękiem przeciążonych amortyzatorów osiąść na murawie. Jeździli po utartych ścieżkach. Mają tu swoją trasę, której zaliczenie wydaje się być swoistym obowiązkiem. Dziś chcieli nawet skakać przez „publiczność" ale czy to brak odwagi, czy dezaprobata delikwentki — spowodowały wykreślenie tej widowiskowej przecie konkurencji z planu treningu.

Gdy bohaterowie byli już trochę zmęczeni, podszedłem do nich, aby dowiedzieć się o nich coś więcej.

Oto moi rozmówcy: Stanisław Różycki, Stanisław Horak i Grażyna Horak. Podobnych im jest w Przemyślu około 50. Pół setki zapaleńców motocyklowych. Swoje poczciwe WFM-ki przerabiają jak mogą, starając się nadać im wygląd „rasowych crosówek". Nie stanowią jednak żadnej zorganizowanej grupy. Nikt się nimi poważnie nie interesuje. Nie ma dla nich zorganizowanego choćby maleńkiego warsztatu, w którym doświadczony majster pomógłby „podrasować" motocykl. Na razie usportowienie motocykli polega na zniesieniu rury wydechowej, błotników oraz usunięciu reflektora. Chłopcy pracują w różnych zakładach, czasem zupełnie nie związanych z mechaniką. Łączy ich żyłka sportowca motorowego. Ale żyłka to nie wszystko. Te skłonności muszą być pogłębiane i rozwijane.

Ulice nasze pełne są ryczących motorów, z których właściciele na przekór zdrowemu rozsądkowi (bo to nic nie daje silnikowi) oraz milicji — pousuwali tłumiki.

Warto te sportowe zapędy skierować na właściwe tory. Może udałoby się utworzyć w Przemyślu klub motorowy z prawdziwego zdarzenia, a wówczas kalendarzyk imprez, jakże ubożuchny, wzbogacić o zawody motocyklowe... Publiczności na pewno nie zabraknie.

Prosimy o wypowiedzi na poruszony wyżej temat. Chętnie zamieścimy ciekawsze. Może wspólnymi siłami uda się pomóc młodzieży i uatrakcyjnić życie przemyskie (to z małej litery).

JAN KOWSKI

SeRwIs INFORMACYJNY

PROGRAM TV LWÓW

(WG CZASU MOSKIEWSKIEGO)

ŚRODA

Godz. 17.30 — IX Festiwal Młodzieży i Studentów w Sofii, finał zawodów pływackich, 19.00 — Sprawozdanie z meczu piłkarskiego, 20.45 — Międzynarodowe spotkanie w siatkówce Japonia — ZSRR, 20.00 — Międzynarodowy koncert (transmisja z Sofii).

CZWARTEK

Godz. 20.55 — Sprawozdanie sportowe, 22.50 — Transmisja z Festiwalu Młodzieży i Studentów w Sofii, 23.55 — Film pt. „Popiół i diament".

PIĄTEK

Godz. 19.30 — Sprawozdanie sportowe z meczu piłkarskiego drużyn Spartak — Moskwa i CSK — Moskwa,, 22.00 — IX Festiwal Młodzieży w Sofii, 23.55 — Program rozrywkowy

SOBOTA

Godz. 22.00 — IX Festiwal Młodzieży i Studentów w Sofii, 23.55 — Węgierski film fabularny.

NIEDZIELA

Godz. 20.15 — IX Festiwal Młodzieży i Studentów w Sofii, 23.55 — film fab. „Pozwolenie na ślub".

KINA

„BAŁTYK"

31 — Piękna Angelika (pan. fr. l. 16)
1—5 — Twardzi ludzie (pan. fr. l. 16)
6—7 — Kronika rodzinna (wł. l. 16)

Program nocny 3.08 godz. 22.00 — Fałszywe banknoty (fr. pan.)

UWAGA!

W każdą sobotę w okresie letnim o godz. 22.00 odbywają się seanse nocne, natomiast w niedzielę o godz. 11 wyświetlane są pełnometrażowe filmy fabularne przeznaczone dla młodzieży starszej. I tak w niedzielę 4 sierpnia na seansie przedpołudniowym w kinie „Bałtyk" ujrzymy „Treme", film prod. USA, dozwolony od l. 14.

„ROMA"

31—1 — Panie i panowie (wł. l. 18)
2—4 — Życie zamku (fr. l. 14)
5—7 — Monsieur (pan. fr. 16)

„OLIMPIA"

31 — Old Surehand (pan. jug. l. 11)
1 — Ostatni kurs (pol. l. 16)
2 — Królowa stacji benzynowej (radziecki l. 11)
3—4 — Fifi piórko (fr. l. 14)
5—7 — Ostatnie polowanie (pan. USA l. 14)

„KOSMOS"

31 — Kasia Ballou (USA l. 16)
1—2 — Wczoraj, dziś, jutro (pan. wł. l. 16)
3 — Pięciu mężów pani Lizy (pan. USA l. 16)
4—6 — Wilcze echa (pan. pol. l. 14)
7 — Krew na śniegu (jug. l. 16)

„GRANICA"

31 — Potem nastąpi cisza (pan. pol. l. 16)
1 — Cichy Don I seria (radz. l. 16)
2 — Cichy Don II seria (radz. l. 16)
3 — Czterej pancerni i pies III zestaw (pol. l. 7)
4 — Czterej pancerni i pies II zestaw (pol. l. 7)
6—7 — Boccacio (wł. l. 18)

KOMUNIKAT

Zawiadamiamy wszystkich ekspresnych, którzy wybierają się na Wizę Przyjaźni w Krościenku, 4 sierpnia, że PKS w Przemyślu dostarczy na tę trasę 4 autobusy, gwarantujące również powrót. Przedsprzedaż biletów w sobotę 3 bm. Dokładnych informacji udziela PKS.

POSTÓJ TAKSÓWEK

593 — Plac Dąbrowszczaków
509 — Ulica Długosza

DYŻURY APTEK

Do dnia 3 sierpnia dyżur nocny pełni apteka nr 63, przy ul. Tysiąclecia 5, tel. 24-83, a od 3 do 10 sierpnia — apteka nr 61 przy ul. 1 Maja 20, tel. 23-36.

K-020/2. Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego w Rzeszowie Pracownia Terenowa w Przemyślu, ul. Szczepanowskiego 2, przyjmie do pracy na stanowska projektantów i asystentów INŻYNIERÓW i TECHNIKÓW w specjalności budownictwo ogólne, technika sanitarna i elektryczna.

K-017/2. MIKROBIOLOGA zatrudni zaraz Przemyska Wytwórnia Win w Przemyślu. Warunki pracy i płacy do omówienia na miejscu.

Piękna Angelika

(FILM PRZYGODOWY, KOSTIUMOWY)

Fantastyczne powodzenie 8-tomowej powieści o Markizie Angelice zadecydowało o zakwalifikowaniu Anne i Serge Golon do rzędu najpoczytniejszych współczesnych powieściopisarzy europejskich. Powieść ta ukazała się w ponad 20 krajach w ogólnym nakładzie ok. 40 mln egzemplarzy. O sławnej awanturnicy z XVII w. zrealizowano również 5 serii filmów. Jest to niebywała prosperita „romansu płaszcza i szpady", do którego konwencji wraz z Angeliką dołączył się seks. Pod maską rokokowego stroju Angeliki kryje się bowiem sylwetka młodej, powabnej, nowoczesnej dziewczyny, której przygody tylko w niewielkim stopniu odzwierciedlają obraz XVII-wiecznych obyczajów.

W Polsce oglądaliśmy dotychczas film pt. „Markiza Angelika", będący pierwszą częścią serii.

Jak sobie przypominamy, młodziutka Angelika de Sance, wydana wbrew woli za hrabiego Jeoffreya de Peyrac, znalazła w swym mężu szlachetnego i kochającego towarzysza. Przypadkowe odkrycie spisku Frondystów przeciw Ludwikowi XIV, a ponadto zawiść króla, zazdroszczącego Peyracowi skarbów i... żony, ściągnęły na nich nieszczęście. Hrabia, oskarżony o czary zginął na stosie. Zrozpaczona Angelika poprzysięgła wrogom zemstę...

Po śmierci męża ukrywa się wraz z dziećmi wśród paryskich włóczęgów. Wpada w zasadzkę policji i dostaje się do więzienia. Ucieka stamtąd, dowiadując się, że dzieci zostały sprzedane Cyganom. Udaje się je odzyskać. I znów wspólnie mieszkają w podparyskiej gospodzie, która wkrótce zostaje spalona przez rozochoconych awanturników Przywódcą birbantów okazuje się brat króla. Angelika przygotowuje zemstę. W splocie skomplikowanych intryg — jakie śledzić będziemy na srebrnym ekranie — Angelika zdoła zwrócić na siebie po raz trzeci baczną uwagę Króla Słońca. Tym razem, już jako pani de Plessis-Bellieres.

W rolach głównych występują: Michele Mercier jako Angelika, Claude Giraud — Philippe de Plessis-Bellieres, Jacque Toja — król Ludwik XIV i inni.

Film jest barwny, szerokoekranowy. Opracowany w napisach.

KINOMAN

Kadr z filmu. „Piękna Angelika".

Niedzielna wycieczka

Przez Rybotycze do Birczy

DZISIEJSZĄ wycieczkę polecamy zarówno turystom zmotoryzowanym, jak i pieszym; zmotoryzowani mieć będą do przejechania „pętlę" (Przemyśl — Rybotycze — Birczа — Przemyśl), liczącą 67 km. Piechurzy dojeżdżając autobusem PKS do Huwnik, przejdą (z Huwnik przez Rybotycze do Birczy) około 18 km, a następnie autobusem powrócą z Birczy do Przemyśla.

Pierwszy odcinek trasy (który przejeżdżamy) prowadzi z Przemyśla wzdłuż doliny Wiaru przez stare historyczne osady: Grochowce, Fredropol, Aksmanice do Huwnik. Mijane tereny są prawie płaskie i bezleśne. Na prawo od drogi ciągną się między Fredropolem i Aksmanicami niewysokie pasma zalesionych wzgórz ze szczytem „Szybenica" (495 m). W niewielkiej odległości na lewo od drogi przebiega granica państwa. Najefektowniejszym odcinkiem tej trasy jest zjazd serpentynami ze szczytu „Chyb" (423 m) do Huwnik.

Z Huwnik — starej, bo założonej jeszcze w 1367 r. wsi, kierujemy się w stronę zachodnią do Rybotycz. Po lewej stronie mijamy leżącą za Wiarem wieś Makową i po trzech kilometrach marszu dochodzimy do Rybotycz. Jest to stara osada, niegdyś miasteczko, istniejące od XIV w., o bardzo bogatej przeszłości historycznej.

Z Rybotycz idziemy nadal w kierunku zachodnim wzdłuż Wiaru do odległej o 2,5 km wioski Posady Rybotyckiej. Znajduje się w niej bardzo cenny zabytek architektury sakralnej; obronna cerkiewka murowana z oknami strzelniczymi, zbudowana w XVI w. w stylu gotycko - renesansowym. Początkowo miał to być zbiór ariański, potem zamieniono go na cerkiew. Od kilku lat trwają tam prace konserwatorskie. Z Posady Rybotyckiej warto zrobić wycieczkę na leżące w prawo od drogi (jeszcze przed cerkiewką) zalesione wzgórze Grabnik, na którego szczycie odkryte zostało grodzisko wczesnośredniowieczne z X—XIII w. Dalsza trasa wiedzie coraz to bardziej w górę między zalesionymi wzgórzami i niezaludnionymi polami, do zabudowań PGR Łodzinka, powstałego w miejscu spalonej przez UPA wsi o tej samej nazwie. W odległych czasach we wsi była huta szkła. Droga wznosi się coraz wyżej, aż wyprowadza na grzbiet górski o wysokości 482 m n.p.m. Ze szczytu roztaczają się rozległe widoki, głównie na masywy leśne, jakie na tym terenie przeważają. Nadal trzymając się kierunku zachodniego licznymi serpentynami schodzimy ze szczytu przez rozproszoną na zboczach wzniesień wieś Wola Korzeniecka do Birczy, z której autobusem wracamy do Przemyśla.

Informacje: autobusy do Huwnik odchodzą w niedzielę o godz. 6.30; cena biletu — 8 zł.

Ostatnie autobusy z Birczy do Przemyśla odchodzą w niedzielę o godz. 16.30, 17.22, 18.40, cena biletu — 10 zł.

JAN ROŻAŃSKI

ANAGRAMÓWKA

S	I	T	O	K	U	L	A	10	19	14			18		
W	I	E	C	O	D	O	L	23		9		11			
K	U	R	A	T	U	B	A	25	20		6		29		
R	U	C	H	Ł	A	T	A		2		5		8		4
S	O	J	A	C	E	P	R	21				12	24	17	
O	C	E	T	W	Ł	O	S				27	1		15	16
K	W	I	K	A	M	O	N				22	3		26	
E	M	I	L	M	I	R	T	28		7		13			

Z każdej pary wyrazów czteroliterowych należy ułożyć nowy wyraz ośmioliterowy i wpisać go do prawej części diagramu. Litery znajdujące się w polach oznaczonych cyframi czytane w kolejności od 1 do 29 utworzą rozwiązanie, które wystarczy podać jako rozwiązanie całego zadania.

„BOLEŃ"

* * *

Temin nadsyłania rozwiązań — dwa tygodnie od daty ukazania się numeru. Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród w postaci bonów książkowych.

J. P.

Opowiastka filozoficzna

Pewien uczony, któremu przypadł los Sokratesa, skarży się przed przyjacielem, że żona zatruwa mu życie.

— Jeżeli cię przeżyje, masz zemstę gotową, pomiń ją w testamencie.

— Przeciwnie, mam zamiar wszystko jej zapisać.

— Żartujesz?

— Jak będzie miała pieniądze, wyjdzie powtórnie za mąż. Znajdzie się przecież ktoś, kto będzie mnie żałował po śmierci.

J. P.

Nadal bez ratowników

W poprzednim numerze „Życia" informowaliśmy czytelników o projekcie zatrudnienia ratowników na dwóch przemyskich kąpieliskach (w sąsiedztwie plaży i przystani). Skończyło się jednak na obietnicach. Powiatowy Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki sprawy nie załatwił we właściwym terminie. Wygląda na to, że ratownicy będą czuwać nad kąpieliskiem dopiero po zakończeniu sezonu.

ANEGDOTY

ODPOWIEDŹ

Poeta niemiecki Fryderyk Schiller uczył się w młodości gry na harfie. Kiedyś pewien jegomość powiedział do niego:

— Gra pan jak Dawid, tylko nie tak pięknie.

— A pan — odpowiedział poeta — mówi jak Salomon, tylko nie tak mądrze.

TO NIE PAN MICKIEWICZ

Rok 1888. Prapremiera opery Władysława Żeleńskiego (ojca Boya) pt. „Konrad Wallenrod". Przed przedstawieniem zgłasza się do kasy Żeleński i prosi o gratisowy bilet.

— Jestem autorem „Konrada Wallenroda" — mówi twórca „Goplany" i „Janka".

Na to kasjer zrywa się z miejsca cały rozpromieniony, składa niski ukłon muzykowi i pyta:

— Czy mam przyjemność z panem Mickiewiczem?

KRAWATY

— Kto to jest ów jegomość? — zapytał na przyjęciu Marek Twain swego sąsiada — który tak się chełpi tym, że jego krawat kosztował 25 dolarów"

— To niejaki N., zrobił on majątek na plantacjach w Indiach. To właściciel, który potrafił wyżyłować swoich robotników do ostatniego tchu.

— Dziwna rzecz — powiedział na to Twain — że u nas w Stanach Zjednoczonych najwykwintniejsze krawaty noszą ludzie, którym pasowałby najbardziej zwykły stryczek.

„Edbo"

Hochsztaplerka

(Ciąg dalszy ze str. 3)

wie, może po to, by mu później ofiarować swe usługi.

Na której tam z rzędu sprawie hochsztaplerka wpadła. W jej mieszkaniu w czasie rewizji znaleziono wiele notatek, odpisów pism sądowych itp., które umożliwiły władzom szersze oświetlenie jej przestępczej działalności. Spraw przybywało, a dochodzenia trwały kilka miesięcy. Zeznania świadków i inne dowody były oczywiste, toteż Sąd Powiatowy w Przemyślu skazując Ewę Ketter na 8 lat więzienia, 15 000 zł grzywny i pozbawienie publicznych oraz obywatelskich praw honorowych na lat 5 był całkowicie przekonany o jej winie.

ZB. ZIEMBOLEWSKI

ŻYCIE PRZEMYSKIE

Redaguje zespół. Adres redakcji: Przemyśl, ul. Waryńskiego 15. Telefony — 22-00 i 81-84. Warunki prenumeraty: kwartalna — 26 zł, półroczna — 52 zł, roczna — 104 zł. Prenumeratę przyjmują PUPiK „Ruch" i placówki pocztowe. Ogłoszenia — Biuro Reklam i Ogłoszeń w Rzeszowie ul. Grunwaldzka 42 oraz urzędy pocztowe.

Wydawca — Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" RSW „Prasa" w Rzeszowie, ul. Żeromskiego 5. Tel. dyrektor wyd. 47-75, centrala 20-51, 20-57.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. M-3